



Marion Lennox

Anioł doktora Blake'a

Tytuł oryginału: *Dr Blake's Angel*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie jestem pacjentką. Jestem prezentem na Gwiazdkę.

Kobieta miała miedzianorude włosy, patchworkowe fioletowe ogrodniczki, różowy pokoszulek oraz różowe sandały. Była również w zaawansowanej ciąży.

Blake Sutherland miał w planie jeszcze kilka wizyt domowych. Obiecał też starej rybaczce Grace Mayne, że do niej wpadnie, i wiedział, że ona na niego czeka. Na dodatek od świtu był na nogach, więc gonił resztkami sił, gdy ta wariatka weszła do gabinetu.

- Słucham?

- Na pewno jeszcze nigdy nie dostał pan takiego prezentu pod choinkę. -

Uśmiechnęła się, promieniejąc szczęściem

Po chwili namysłu postanowił zignorować tę uwagę.

- Pani jest w ciąży - powiedział.

Usiadł wygodniej i zaczął się jej przyglądać. Co najmniej siódmy miesiąc, a nawet ósmy. Tryskała zdrowiem, co często zdarza się ciężarnym w ostatnim trymestrze. W jej usianej piegami twarzy królowały ogromne zielone oczy. Poza tym miała rozbrajający uśmiech. Przestań! Nie zajmuj się uśmiechem. Na pewno ma jakieś problemy, bo inaczej by tu nie przyszła.

- Tak. Jestem w ciąży. Gratuluję spostrzegawczości. - Zaśmiała się cicho.

Było to przyjemne, gardłowe prychnięcie, które bardzo pasowało do jej oczu.

- Emily mówi, że jest pan świetnym lekarzem. I oto mam pierwszy dowód. Jestem w ciąży. - Poklepała się po brzuchu. - Kto by pomyślał?

Uznał za stosowne uśmiechnąć się.

- Przepraszam, ale...

- Można by powiedzieć, że w mojej osobie dostał pan dwa prezenty w jednym. Z tym że chyba tylko opakowanie, czyli ja, jest do wykorzystania.

Wariatka! Lecz jest w ciąży i należy się nią zająć. Nie może odmówić jej porady, tylko dlatego że jest niezrównowazona.

- Czy przyszła pani do mnie w sprawie ciąży? - Zauważył, że kobieta nie ma obrączki. - Pani...

- Doktor McKenzie - przedstawiła się, podając mu rękę. - Albo po prostu Nell. Kiedy ktoś zwraca się do mnie per „doktor McKenzie”, mam wrażenie, że chodzi o mojego dziadka.

Miała ciepłą i silną dłoń. Gdy mocno potrzęsnęła jego ręką, poczuł się dosłownie wstrząśnięty. Ta rozmowa nie ma sensu. Nie mógł się połapać, o co chodzi.

- Pani... doktor...

- Od razu widać, że jest pan wykończony - zauważyła. - Emily i Jonas też tak twierdzili. Uznali, że jestem panu potrzebna, a po godzinie w tej poczekalni widzę, że mieli rację.

- Proszę pani, czy...

- Pani doktor - poprawiła go z uśmiechem. Co to był za uśmiech! Pojaśniały od niego wszystkie kąty w gabinecie.

Przyglądał się jej uważnie. Ale się ubrała! Z drugiej strony w tym stroju było jej bardzo do twarzy. A do tego te lśniące rude włosy. Właściwie lśniła od stóp do głów.

- Niech będzie pani doktor - zgodził się z namysłem. Ona ma rację. Jest przepracowany. W tym miasteczku jest roboty dla kilkunastu lekarzy, zwłasz-

cza przed świętami. Zaczyna się pora roku, kiedy skutki wszystkiego, co działo się w miasteczku, zazwyczaj prowadziły tutaj, do lekarza.

Zjawiały się wtedy także stuknięte ciężarne, które twierdziły, że są lekarzami.

- Czy mogę zapytać...

- Wypadałoby. - Splotła palce na brzuchu i uśmiechnęła się zniewalająco. - Proszę pytać. Czy sama mam to wyjaśnić?

- Słucham. - Czuł, że opada z sił.

- Czy da mi pan słowo, że nie założy mi pan kaftana bezpieczeństwa?

- Nie mogę tego obiecać. - Poczul, że kąciki jego warg same podnoszą się w uśmiechu. - Ale mogę wysłuchać.

Już jest lepiej! Nell wygodniej usadowiła się w fotelu. Całkiem sympatyczny, pomyślała. I młodszy niż myślała. Jonas i Emily bardzo się starali jak najdokładniej go opisać, ale nie bardzo się im to udało.

- Blake jest po trzydziestce - oznajmiła Emily. - Ma piękne kasztanowe włosy i wesołe brązowe oczy. Otoczone siateczką zmarszczek. Ze zmęczenia i od śmiechu. Ale trzeba wziąć pod uwagę, co przeżył. I jak teraz żyje. Wyłącznie pacjentami. Praca, praca i tylko praca. Poza tym uwielbia biegać. Nikt nie ma pojęcia, jak on znajduje na to czas. - Emily westchnęła. - Polubisz go. Każdy go lubi. Szkoda, że... - Urwała. - Co jeszcze? Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu...

- Opanuj się - przerwał jej mąż. - Nell chce się dowiedzieć, jakim Blake jest lekarzem. Nie interesuje jej opis z działu złamanych serc w babskich pismach.

- Co ty mi o nim powiesz? - zapytała Nell.

- Świetny facet. Lubi piwo.

- To bardzo cenna informacja.

- Jest też zdolnym chirurgiem - ciągnął Jonas, uzupełniając obraz namalowany przez żonę. - Ogólnym oraz naczyniowym. Jest troskliwy i lepiej wy-

szkolony niż większość lekarzy na wsi. Zgadzam się z Emily, że jest zaharowany.

- I tu zaczyna się twoja rola - dorzuciła Emily.

Nell przyjechała w odwiedziny do przyjaciół, a wylądowała w gabinecie Blake'a Sutherlanda.

- Jak już powiedziałam, jestem prezentem pod choinkę. Można mnie zaakceptować lub nie, ale jestem tu po to, żeby mnie pan wykorzystał zgodnie ze swoimi potrzebami.

Blake nie należał do osób, które łatwo zbić z pantafelów, lecz tym razem zupełnie go zatkało. Co gorsza, był potwornie zmęczony i z trudem rozumiał, co się do niego mówi. - Rejon Sandy Ridge obejmował spory obszar. Okolice Bay Beach, pięćdziesiąt kilometrów na północ, obsługiwało dwoje lekarzy: Jonas i Emily Mainwaring. Dzięki nim Blake mógł czasami odsapnąć, lecz było to zdecydowanie za rzadko.

Od dwóch lat, czyli odkąd przyjechał do Sandy Ridge, powtarzał sobie, że lubi pracę na wsi i ceni samodzielność. Czasami jednak nieprzyjemnie odczuwał ciężar wszystkich obowiązków. Na przykład teraz. Liczba pacjentów oraz wezwań do chorych zawsze gwałtownie rosła przed świętami. Na domiar złego spadła mu na głowę ta zwariowana ciężarna.

- Przydałoby mi się trochę więcej danych - wykrztusił, jednocześnie odczytując współczucie w oczach Nell.

- Zrobię herbatę. Co pan na to? Herbata? Pacjentka proponuje mu herbatę?

- Mam wrażenie, że dobrze by panu zrobiła.

Wolałby, żeby dała mu spokój. Musi jeszcze odbyć kilka wizyt i wpaść do Grace Mayne. A potem będzie spał sto godzin!

- Wolałbym, żeby mi pani przedstawiła swój problem i pozwoliła zająć się innymi sprawami - rzekł znużonym tonem. - Wypełniła pani to? - Bez więk-

szej nadziei wyciągnął w jej stronę kwestionariusz pacjenta. Tą formalnością powinna była zająć się Marion. Dlaczego tego nie zrobiła?

- Jak mogłam to wypełniać, skoro czytałam stare egzemplarze plotkarskich magazynów? - Uśmiechnęła się. - Poznałam sercowe kłopoty Madonny. To bardzo pouczające. I zdecydowanie ciekawsze od tego, co mogłabym wpisać do tej durnej ankiety. Poza tym nie jestem pacjentką.

- Czy wobec tego może mi pani powiedzieć, po co pani tu przyszła?

- Usiłuję, ale pan mi przerywa. Jestem prezentem.

- Dla mnie.

- Tak.

Wpatrując się w przedziwny fioletowy strój dziewczyny, przekonywał się w duchu, że nie ulega halucynacjom.

- To nie jest świąteczne opakowanie - zauważył.

- Nie było takiego dużego kawałka ozdobnego papieru. Czy... jest tu jakiś pub, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

- Po co nam pub?

- Może byłoby nam łatwiej w bardziej świątecznej atmosferze. Choinka, jemiola...

- O co pani chodzi? - Mimo że był to zaledwie cichy jęk, zrozumiała, że Blake jest na skraju wytrzymałości.

Rozłożyła ręce i posłała mu słodki uśmiech.

- To bardzo proste. Przyjaciele, Jonas i Emily, lekarze z Bay Beach...

- Wiem, kim są Jonas i Emily.

- Wobec tego wie pan także, jak bardzo są panu wdzięczni za pańską pomoc. Za to pan nigdy nie prosi ich o wsparcie. Teraz, kiedy Sandy Ridge stało się popularnym regionem wypoczynkowym, jest tu coraz więcej pracy. W związku z tym...

- Co w związku z tym?

- Postanowili się odwdzięczyć. I postarali się, żeby mógł pan mieć trochę wolnego czasu. Przez cztery tygodnie. Pierwotnie Jonas sam chciał tu przyjechać, ale teraz, kiedy Robby jest po kolejnym przeszczepie skóry, a Emily spodziewa się dziecka, nie chcieli się rozstawać. Kiedy usłyszeli, że się tu wybieram...

- Wybierała się pani właśnie tutaj? - Zdesperowany, łapał ją za słówka.

- Pochodzę z Sandy Ridge - oznajmiła, lekko zirytowana jego niedowierzaniem. - Nie było mnie tu przez dziesięć lat, ale mam tu dom. Zamierzam w nim osiaść na stałe.

- Ale...

- Ma pan rację, jest jedno „ale” - przyznała. - To kompletna ruina. Należałoby zacząć od wysadzenia jej w powietrze, ale zanim tam się przeniosę, muszę gdzieś mieszkać. I teraz pan pojawia się na scenie. Jestem dopiero w siódmym miesiącu, więc jeszcze mogę pracować. Jonas uzgodnił z zarządem, że otrzymam wynagrodzenie za cztery tygodnie zastępstwa. Oznacza to, że może pan, doktorze Sutherland, wybrać się na urlop, ponieważ ja przejmę pańskie obowiązki. Wszystkie.

Stwierdzenie, że Blake nie posiadał się ze zdumienia, miałyby się z prawdą. Opuścić ośrodek na cztery tygodnie?

- To niemożliwe. O co im chodziło?

- O pana.

- Nie mogę wyjechać.

- Dlaczego? - Rzuciła mu niewinne spojrzenie. - Mam wszystkie kwalifikacje. Może pan zadzwonić do szpitala w Sydney i sprawdzić. Pracowałam tam z Jonaszem, zanim się ożenił. - Uniosła brwi. Wiedziała, że jej następne słowa nie zabrzmiały wiarygodnie. - Jestem odpowiedzialnym lekarzem. Jeszcze tydzień temu byłam szefową urazówki w Sydney.

- Więc co pani tu robi?

- Ponieważ, jeśli pan tego jeszcze nie zauważył, jestem w zaawansowanej ciąży - przemawiała do niego jak do debila, i tak też się poczuł - więc musiałam coś zmienić. A Jonas wpadł na pomysł, że mogę panu się przydać. Więc przyjechałam tu. Gdybym jeszcze trochę poczekała, stanęłabym na pańskim progu z zawiniątkiem i jako karmiąca matka niewiele bym mogła pomóc.

- Zaraz, zaraz. - Zrobił głęboki wdech. - Zrezygnowała pani z tamtej pracy, żebyśmy mógł wziąć czterotygodniowy urlop?

- Tak jest.

- Zamierza pani po prostu przejąć moje obowiązki?

- Taki jest mój plan.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Pani sobie sama nie poradzi!

- Niech pan nie będzie śmieszny! Jeśli pan potrafi, to dlaczego ja miałabym nie dać sobie rady?

- Cholera!

- Dlaczego? - zapytała uprzejmie.

- Nikogo pani w tej okolicy nie zna. Nie spieszyła się.

- Spędziłam tu siedemnaście lat. Podejrzewam, że znam więcej ludzi niż pan.

Rozpaczliwie walczył ze zmęczeniem i chaosem w głowie.

- Czy Jonas i Emily pani zapłacili?

Zarząd szpitala. Tak, dostałam pieniądze. Nieprzyzwoicie dużo. Wprawdzie nie tyle, ile jestem warta, ale całkiem sporo. Myślę, że powinien pan wysłać im eleganckie podziękowanie. Wpatrywał się w nią oszołomiony.

- Wszystko już pani załatwiła...

- Oczywiście.

- To jest głupi pomysł - odezwał się po namyśle.

- Wcale nie. To zarząd mnie zatrudnia, nie pan. Obawiam się, że nie ma pan wyjścia.

Zastanowił się. Pozornie do niczego nie mógł się przyczepić. A jednak...

- Czy wie pani, ilu mam pacjentów każdego dnia?

- Domyślam się, że sporo.

- Dzisiaj przyjąłem pięćdziesiąt osób.

- Pięćdziesiąt? - Nagle opuściła ją pewność siebie.

- Nie wliczam w to obchodów w szpitalu oraz wizyt domowych. Mamy szczyt okresu urlopowego, co tutaj oznacza urwanie głowy. Dzisiaj zacząłem o szóstej rano i podejrzewam, że nie skończę przed jedenastą. Jeśli będę miał pecha, a zwykle mam, będzie jeszcze kilka wezwań w nocy.

- O rany!

- Gdyby miała się pani tego podjąć...

- Muszę. - Trzymała się bardzo dzielnie, nawet jeśli speszyła ją taka perspektywa. - Zawarłam umowę.

- Jeśli pani się tego podejmie, skoczy pani ciśnienie. Dostanie pani rzucałki, a ja wyląduję z martwym dzieckiem. Może nawet z martwą matką. Myśli pani, że mam na to ochotę?

- Przesada.

- Niech pani wraca do domu, pani doktor McKenzie. Przeciągnął palcami po włosach. Trochę za długie, pomyślała. Ale piękne. Jak spłowiałe na słońcu kasztany, gęste i falujące.

Przesunęła wzrok na opaloną twarz o stanowczych, męskich rysach. Ma przed sobą bardzo przystojnego mężczyznę. Daj spokój! O czym ty myślisz?!

- Przeprowadziłam się tutaj i urodzę tu dziecko - powiedziała półgłosem, spoglądając na niego wyczekująco.

- Zamierza pani rodzić w Sandy Ridge?

Szalony pomysł. Nikt nie przyjeżdża rodzić w Sandy Ridge. Prawdę mówiąc, poród w Sandy Ridge, gdzie pracuje tylko jeden lekarz, należy do bardzo ryzykownych przedsięwzięć.

Był tak wstrząśnięty tym oświadczeniem, że palnął coś, co ułamek sekundy później uznał za wyjątkowo nie na miejscu.

- A ojciec dziecka? Co on sądzi o tej przeprowadzce? Rzuciła mu gniewne spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na jego obrączkę.

- A co myśli pańska żona? - Użyła tego samego tonu. Oskarżycielskiego. Patrzyli na siebie z nie ukrywaną niechęcią. - Co sądzi o tym, że zaharowuje się pan na śmierć? Czy może to nie mój interes? W porządku, doktorze. Jeśli opowie mi pan swoją historię, pozna pan moją.

Blake pierwszy odwrócił wzrok.

- Właśnie! - rzucił od niechcienia, lecz Nell czuła, że jej cios dotknął go do żywego.

Jej też się oberwało, lecz nie zamierza nad nim się rozczulać. Ani nad sobą. Przyszła tu po to, by przejąć jego obowiązki. Na miesiąc. Potem zniknie z jego życia.

- Ilu było tych pacjentów? - zapytała słabym głosem, sprawiając mu tym sporą satysfakcję.

- Pięćdziesięciu.

- Chyba nie mogę...

- Też tak uważam. - Wstał. - To bardzo ładnie z pani strony, Jonasa, Emily oraz zarządu szpitala. Ale to zły pomysł. Oczywiście zadzwonię, żeby im podziękować. Pani również jestem wdzięczny. Myślę jednak, że nic z tego nie wyjdzie. Nie sądzi pani?

- Nie.

- Nie?

- Obiecałam Jonasowi i Emily, że umożliwię panu odpoczynek w święta.

- To niemożliwe. Nie odbierze mi pani świąt.

- To prawda. - Na jej twarzy malował się piekielny upór. - Ale mogę je z panem dzielić.

- Co takiego?

- Może uda się nam spędzić niezapomniane Boże Narodzenie. Wspólnie. - Była nieugięta. Zbijała każdy jego argument.

- Musi pan odpocząć. Zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Tak, ale...

- Przemęczony lekarz to niebezpieczny lekarz.

- Mogę...

- Nie może pan. Nikt nie może. Człowiek zmęczony traci zdolność oceny sytuacji. To dlatego Jonas i Emily są tacy zaniepokojeni.

- Powiedzieli, że nie potrafię dokonać oceny sytuacji?.

- Jeszcze nie. Ale do tego dojdzie.

- To nie ma sensu.

- Nie ma sensu ta wymiana zdań.

- Nawet pani nie znam - bronił się. - Wchodzi pani do mojego gabinetu jak jakiś dziwaczny...

Fatalne posunięcie!

- Nie podobają się panu moje ogrodniczki? - Zerwała się z miejsca. - Moje fantastyczne spodnie? Ocenia mnie pan na ich podstawie? Jak pan śmie? Dawno nie spotkałam tak nietolerancyjnego, uprzedzonego szowinisty!

- Nie powiedziałem niczego złego o ogrodniczkach - jęknął, gdy ruszyła w jego stronę.

- Dziwaczne! - prychnęła. - Co jeszcze jest we mnie dziwaczego oprócz moich pięknych spodni?

- Temperament?

Zatrzymała się pół kroku przed nim.

- Miał pan na myśli ogrodniczki.

- Bardzo... eleganckie.

- Sama je uszyłam.

- Już powiedziałem...

- Te ogrodniczki są eleganckie - powtórzyła. - Nie są dziwaczne.

- Nie są dziwaczne - przyznał.

- Nie podobają się panu kolory?

- Podoba mi się różowy. I fioletowy.

- Bez przesady. - Zerknęła na niego spode łba. - Rozumiem, doktorze Sutherland, że doszliśmy do porozumienia. Czy mam poinformować zarząd, że nie chce mnie pan zatrudnić z powodu uprzedzeń do kobiet w ciąży oraz fioletowych spodni?

- To nie ja panią zatrudniam.

- Wiem. Zarząd. Oni mnie już zatrudnili. Więc jeśli nie będę mogła tu pracować, to będzie znaczyło, że mnie pan zwolnił. Seksistowskie uprzedzenia...

- Nie mam żadnych uprzedzeń.

- Chce pan mieć spokojne święta?

- Tak. - Nie będzie to możliwe, jeśli ta straszna baba nie wyjedzie z miasteczka.

- Więc podzielmy się pracą. Niech mi pan odda tylu pacjentów, ilu zdołam załatwić. A pan w tym czasie będzie mógł rozkoszować się jadłem, pić i jemiołą.

- Nie mogę. Niech pani posłucha, pani McKenzie...

- Doktor McKenzie - warknęła. - Niech pan to sobie przemyśli i zastanowi się, co pan traci.

Nie spuszczała z niego wzroku. Jej złość kazała mu policzyć do dziesięciu. Dzięki temu mógł pozbierać myśli.

- Hm - chrząknął.

- Słucham?

Przyglądała mu się uważnie, a on zrozumiał, że naprawdę zamierza osiedlić się w Sandy Ridge.

- Mogłaby pani wziąć przedpołudnia w przychodni - rzekł na odczepne.

Może to całkiem niezły pomysł. Może powinien przyjąć ofertę Emily i Jonasa? Jeśli ta kobieta przejmie przychodnię, jemu przypadnie w udziale dzień pracy w normalnym wymiarze.

Nell z kolei ochłonęła, usłyszawszy tę propozycję.

- To już coś - mruknęła, zasiadając z powrotem w fotelu. - Ale za pracę biore pieniądze - rozpogodziła się - więc mogę jeszcze wziąć co drugi nocny dyżur pod telefonem.

Przygryzł wargę.

- To jest niewykonalne. Wezwania do nagłych wypadków są łączone z moim mieszkaniem. Nie warto zawracać sobie głowy przełączaniem telefonów na jeden miesiąc.

- Nie trzeba ich przełączać.

- Dlaczego?

- Emily powiedziała, że wygląda to tak samo jak u nich, w Bay Beach. Przy szpitalu jest pięciopokojowe mieszkanie dla lekarzy. Obie placówki wybudowano w czasach, kiedy optymistycznie zakładano, że lekarze będą się bili o pracę na prowincji. W ten sposób jeden pokój będzie pana, drugi mój, trzeci Ernesta, a czwarty będzie czekał na gości.

Ernest? Kto to jest Ernest? Drugie dziecko? Jej partner? Wolał nie pytać. Ernest jest nieistotny.

- Nie może pani ze mną mieszkać.

- Dlaczego? - Szeroko otworzyła oczy. - Wydawało mi się, że w mieszkaniu dla lekarzy powinni mieszkać lekarze. W Sandy Ridge jest teraz dwóch lekarzy.

- Tak, ale...

- Mój dom nie nadaje się do mieszkania. To jedna z przyczyn, dla której postarałam się o oficjalne zastępstwo.

- Pani McKenzie...

- Doktor - poprawiła go. - Mam też pozwolenie na zamieszkanie na terenie szpitala. Będzie pan musiał się do tego przyzwyczaić. Odmawia pan?

Popatrzył na nią ponad biurkiem. Uspokoiła się, pomyślał. W jej oczach nie było już rozbawienia, złości ani grózb. Wyczytał w nich tylko zrozumienie. Oraz współczucie.

Coś ponadto?

Coś, czego nie mógł zrozumieć. Wiedział jednak na pewno, że nie chce tej kobiety w swoim domu. Ani w życiu! Kto to jest Ernest?

Uratował go dzwonek z poczekalni. Marion wpuściła Nell do gabinetu, a ponieważ nie było już pacjentów, wyszła do domu.

- Muszę zobaczyć, co się stało. S pochmurniała.

- Niech się pan nie cieszy. Jeszcze nie skończyliśmy.

- Porozmawiamy później - rzucił i z uczuciem ogromnej ulgi wyszedł.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ethel Norris nie bardzo nadawała się do roli wybawcy.

Ważyla blisko sto pięćdziesiąt kilo. Zawsze była schludna i pogodna, ale nie tym razem. Miała poplamione ubranie, siwe włosy sterczały jej tak, jakby od rana się nie czesała, a po twarzy płynęły strugi łez. Gdy Blake wszedł do poczekalni, w jej oczach malowała się taka rozpacz, jakby zbliżał się koniec świata.

- Doktorze... Och, doktorze... - Ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami.

Podprowadził ją do krzesła, posadził, a sam przykląkł przed nią. Odjął jej dłoń od twarzy.

- Co się stało? - Wpatrywał się w jej oczy, usiłując dociec przyczyny tej rozpacz.

- Nie mogłam... Nie mogłam...

- Czego nie mogłaś?

- Załamalam się. - Westchnęła. - A tak dobrze mi szło. Zrzuciłam dwadzieścia pięć kilo. Pan doktor był ze mnie taki dumny. Już czułam, że wszystkie ubrania robią się coraz luźniejsze. Aż tu nagle... nie mogłam. Nie wiem. Coś we mnie pękło. Poszłam do sklepu i kupowałam wszystko, na co popatrzyłam. Lody, ciasteczka... - Chlipnęła. - To nie było jedno opakowanie. Objadałam się jak prosię. Nawet zwymiotowałam, ale dalej się opychalam. Na pewno znowu mi przybyło. Chyba wróciłam do dawnej wagi. To straszne.

- Nie mogłaś od tego aż tak bardzo utyć.

- Na pewno utylałam.

- Od kiedy stara się pani ograniczyć jedzenie? - zapytała Nell, która stała w progu i przysłuchiwała się rozmowie.

Blake spojrział na nią z dezaprobatą, ale nawet tego nie zauważyła.

- Żeby schudnąć o dwadzieścia pięć kilo, trzeba się odchudzać przez nie wiadomo ile - mówiła zszokowana tą informacją. - To fantastyczny rezultat.

Kobieta z zainteresowaniem popatrzyła na Nell. Każdy zwróciłby uwagę na takie patchworkowe ogrodniczki.

- Proszę się mną nie krępować. Też jestem lekarzem. Dwadzieścia pięć kilo! Imponujące! Jak długo pani się odchudza?

- Pół roku.

- I to jest pierwsze załamanie? - Nell nie mogła wyjść z podziwu. - Sześć miesięcy głodowania! Pierwszy raz słyszę o kimś takim. Fantastyczne.

- Teraz wszystko przepadło.

- Jak to przepadło? - Przyglądała się kobiecie. Jej tusza wskazywała na bardzo zadawnione problemy z jedzeniem. - Domyślam się, że zanim przeszła pani na dietę, cały kubełek lodów na pani stole nie należał do rzadkości - zauważyła, zniżając głos. - Stale objadała się pani lodami. Mam rację?

- Tak, ale...

- A teraz zdarzył się pani jeden dzień przerwy w odchudzaniu?

- To nie była przerwa - zaszlochała kobieta - To było obżarstwo!

- Wcale się pani nie dziwię - ciągnęła Nell. - Gdybym w ciągu sześciu miesięcy straciła dwadzieścia pięć kilo, w końcu też bym się rzuciła na jedzenie.

- Pani doktor! - warknął Blake. To jest jego pacjentka. Nie powinna się wtrącać.

- Wyjęłam to panu z ust, prawda? - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Znam się na odchudzaniu. Od dziecka walczę z nadwagą.

- Pani? - wyszeptała kobieta.

- Teraz tego oczywiście nie robię. Jak pani widzi, jestem w ciąży, a odchudzanie mogłoby zaszkodzić dziecku. Ale jak tylko przestanę karmić piersią, znowu zacznę liczyć kalorie. Bo mnie wystarczy popatrzeć na lody, żeby od razu przybyło mi parę centymetrów.

- To nie to co ja.

- Zgadza się - przytaknęła Nell. - Na pewno doktor Sutherland rozmawiał z panią na temat problemów, które leżą u podstaw otyłości.

- Oczywiście, ale...

- Żadne ale. - Nell podeszła do Blake'a, pochyliła się i łokciem lekko go odepchnęła. - Doktorze, proszę zostawić to kobietom.

- To nie jest kobieca przypadłość.

- Czy pan kiedykolwiek się odchudzał? - Omiotła wzrokiem jego szczupłą sylwetkę. - Maratończyku?

Speszył się.

- No właśnie. - Uśmiechnęła się słodko, po czym zwróciła się do Ethel. - Osiągnięcie zdrowej wagi może trwać kilka lat.

- Wiem. I dlatego tak się przejmuję.

- Tym załamaniem? Nie warto. Nie mogła pani przytyć o dwadzieścia pięć kilo z powodu jednodniowego obżarstwa. Daleko do tego. Ja również staram się kontrolować wagę w ciąży, ale nie potrafiłabym robić tego bez przerwy. Zwariowałabym. Wobec tego daję sobie parę dni luzu.

Kobieta wpatrywała się w nią jak w wyrocznie.

- Na przykład w Boże Narodzenie - ciągnęła Nell poważnie. - Święta są za dwa tygodnie. Przez dwa tygodnie wytrzymam, ale w pierwszy dzień świąt

będę jadła bez umiaru. Za to drugiego dnia przypomnę sobie, jak bardzo mi to wszystko smakowało, i od tej pory zacznę jeść rozsądnie.

- Ale...

- Tak, przed panią jeszcze bardzo długa droga - przyznała. - Znacznie dłuższa niż przede mną, lecz wszyscy powinniśmy jeść z umiarem przez całe życie. Więc ja też chcę mieć taką możliwość. Wobec tego ponownie dam sobie odpust w Nowy Rok. Potem, czternastego stycznia, są urodziny mojego spaniela. Nie mogę przecież pozwolić, żeby obchodził je samotnie. Dalej mamy dwudziesty szósty stycznia. Czy można się głodzić w takie patriotyczne święto jak Dzień Niepodległości? W lutym... Jak się zastanowię, to na pewno wymyślę jakąś okazję.

Kobieta słuchała jej jak urzeczona. Przestała płakać i zafascynowana wpatrywała się w fioletowy brzuch lekarki.

- Będzie pani mogła uczcić... narodziny. W lutym.

- No właśnie! - zawołała Nell. - Nawet nie muszę szukać okazji w kalendarzu. Okazja gotowa!

- Szalony pomysł.

- Skądże! - Nell potrząsnęła głową. - Bardzo logiczny. Każdy musi wiedzieć jakieś światełko na końcu tunelu. Nie da się odchudzać całymi latami, bez żadnej przerwy. Co więcej, trzeba te przerwy zawczasu planować, żeby wytrwać. Czy doktor Sutherland jest odmiennego zdania? - Odwróciła się w jego stronę, groźnie na niego popatrując. - Na pewno nie. Może się mylę?

- Takie odpusty to dobre wyjście - stwierdził. Z niejakim trudem stanął na wysokości zadania. Nell triumfowała.

- Doktor Sutherland podziela moją opinię. Co zaplanowała pani na świąteczną kolację? - zwróciła się do Ethel.

- Nie myślałam o świątecznej kolacji. Może ryba?

- Sama ryba na Boże Narodzenie?! - Nell udała przerażenie. - Dziewczyno, nic dziwnego, że się załamalaś! Rozgrzeszam panią. A pan, doktorze?

- Hm, oczywiście.

- Na świąteczny obiad zalecam indyka, pieczone ziemniaki, sos żurawinowy oraz pudding. Mam przepis na taki sos z brandy, że pod koniec kolacji nikt nie pamięta, jak się nazywa. Mogę się nim z panią podzielić.

- Ale...

- Żadne ale. Zalecam pani jedzenie wszystkiego, na co będzie miała pani ochotę w pierwszy dzień świąt. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Jestem pewna, że jeśli pozwoli sobie pani na swobodne jedzenie, bez wyrzutów sumienia, to na pewno od tego się pani nie pochoruje. Po prostu każda potrawa będzie pani bardzo smakowała. Pod koniec dnia odda pani wszystko, co zostanie, jakiejś leciwej ciotce lub pijaczkowi, albo psu. Jeśli nikogo takiego nie będzie, mój spaniel chętnie się tym zajmie. A następnego dnia zacznie się pani odchudzać. To bardzo proste. I skuteczne.

Ethel popatrzyła na Blake'a.

- Poskutkuje? - upewniła się. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Nie widzę przeciwwskazań. - Nabrał powietrza w płuca. Trzeba sporo odwagi, żeby przyznać się do pomyłki. - Być może reżim, jaki uzgodniliśmy, był rzeczywiście zbyt srogi. Być może doktor McKenzie ma rację.

- Proszę to sobie dobrze zapamiętać - poradziła jej Nell, udając, że jest zszokowana. Nawet Ethel stłumiła śmiech.

- Czy mogę prosić o ten przepis na sos?

- Poproszę recepty. - Nell wyciągnęła rękę w stronę Blake'a. - Muszę natychmiast wypisać remedium dla tej pani. Ethel, jeśli lubisz gotować więcej, niż twoja rodzina potrafi zjeść, zastanów się, czy nie mogłabyś czasami czegoś przygotować dla domu opieki albo dla szpitala. Albo nawet dla mnie!

Tylko nie pomyśl się i nie daj tej recepty farmaceucie w aptece. Bo pomyśli, że doktor Sutherland zwariował. - Śmiejąc się, podała pacjentce receptę.

- Mam wrażenie, że oboje jesteście zwariowani - powiedziała cicho Ethel.

- Dzięki wam już mi lepiej.

- Najgorsze jest wymierzanie sobie kary - oznajmiła Nell. - Życie jest wystarczająco okrutne. Z krytykowania samej siebie też nic dobrego nie wyniknie. Schudnięcie o dwadzieścia pięć kilo jest bardzo istotnym powodem do dumy.

Ethel z trudem się podniosła z krzesła. Dopiero teraz dokładniej przyjrzała się Nell. Rzuciła niepewne spojrzenie Blake'owi, po czym znowu popatrzyła na młodą lekarzkę.

- Ja chyba panią znam.

- Jestem Nell McKenzie. Moi dziadkowie mieszkali w domu na urwisku.

- Nell McKenzie! Kto by się spodziewał! Zmieniłaś się. Czy dobrze usłyszałam, że będziesz tu pracować?

Nell przytaknęła, nim Blake zdążył zaprotestować.

- Masz niezwykle ogrodniczki - zauważyła Ethel.

- Ładne, prawda?

- Wyglądają jak z kołdry.

- Z bardzo dużej kołdry.

- Pocięłaś kołdrę, żeby uszyć spodnie? - W oczach kobiety kryło się oburzenie. Sama kiedyś szyła patchworki i w jej odczuciu czyn Nell graniczył z przestępstwem. - Dlaczego?!

- Ogrodniczki były mi bardziej potrzebne niż kołdra. - Stanowczy ton Nell zamknął dyskusję. - Nie ciągnijmy tego wątku. Zajmijmy się świętami.

Blake wyszedł do telefonu. Czy ta dziewczyna jest naprawdę tym, za kogo się podaje? Powiedziała, że przysłali ją Mainwaringowie, więc na razie lepiej

do nich nie dzwonić, ale jest jeszcze Daniel, dyrektor szpitala w Sydney. Pięć minut później już z nim rozmawiał.

- Nell McKenzie? Oczywiście, że ją znam. Od dawna nie było na naszej urazówce tak świetnego lekarza. Będzie jej nam bardzo brakowało. Wszyscyśmy ją usilnie namawiali, aby posłała dziecko do żłobka i nie przerywała pracy.

- Dlaczego na to nie przystała?

- Nie wiadomo. - Daniel zawahał się. - Byłoby jej bardzo ciężko. Nikt nie wie, czy ma kogoś, kto by jej pomagał. Jej życie prywatne jest dla nas tajemnicą. Taka cicha myszka...

- Cicha myszka?! - Blake gwałtownie się wyprostował. - Chyba rozmawiamy o innej osobie.

- Średniego wzrostu, piegowata, rude włosy zaczesane do tyłu, jakby się ich wstydziła?

- Trochę podobna...

- Wobec pacjentów nie zachowuje się jak myszka. Jest kompetentna, stanowcza i bezgranicznie dobra. Pacjenci za nią przepadają. Z drugiej strony... stara się trzymać w cieniu. Kiedy nas poinformowała, że jest w ciąży, nawet nie wiedzieliśmy, że w jej życiu ktoś jest. Byliśmy w szoku. Pielęgniarki żartowały, że jest to nader rzadki przypadek niepokalanego poczęcia.

- Cholera.

- Jeśli zjawiała się w Sandy Ridge... Blake, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby! Jeśli Nell McKenzie chce z tobą pracować, stań na głowie, żeby ją zatrzymać. Ta dziewczyna jest na wagę złota.

Blake wszedł do recepcji, gdy Nell zegnała się z pacjentką. Kim jest Ernest?

- Zgoda - mruknął. Skoro rekomenduje ją taki zaufany przyjaciel jak Daniel, mogę nieco spuścić z tonu, pomyślał.

- Co takiego?

- Możesz zostać.

- To ładnie z twojej strony. - Nie dała po sobie poznać, że zauważyła zmianę frontu.

- Bez ciebie też dałbym sobie radę.

- Nie wątpię. Ale byś się wykończył. Nie można tyle pracować. Bezkarne.

- Robię to od dwóch lat.

- To widać.

- Nieprawda.

- Niech ci będzie. Wyśmienie sobie radzisz. Wszystko jest w idealnym porządku, a mnie przez cztery tygodnie przypadnie rola zawalidrogi. Ha, trudno. Taki mój los. Superzawalidroga. Czy możemy wziąć się do roboty?

Zgłupiał.

- Zaprowadź mnie tam, gdzie mam mieszkać. Apartament jednak nie przypadł jej do gustu. Stała tuż za progiem.

- Jak długo tu mieszkasz? - zapytała, nie kryjąc zdumienia.

- Dwa lata. Nie jest źle.

- Jest ohydnie.

- Dzięki. Czy byłabyś zadowolona, gdybym tak powiedział o twoim domu?

- Gdyby wyglądał tak strasznie, byłabym ci za to bardzo wdzięczna.

- Nie jest tu aż tak strasznie.

- Jest gorzej. - Z dezaprobatą oceniała spartańskie umeblowanie.

Zgadza się, nie jest tu za pięknie, przyznał w duchu. Jego poprzednik mieszkał gdzie indziej. Gdy Blake wprowadzał się do tego mieszkania, zastał w nim stół z laminatu, cztery plastikowe krzesła, ceratową kanapę, po jednym

łóżku w każdym pokoju oraz jeden czarno-biały telewizor. Nie miał czasu ani ochoty czeokolwiek zmieniać.

- Jak ty tu wytrzymujesz? Irytowała go coraz bardziej.

- Zwyczajnie.

Zaglądała do kolejnych pokoi. Od sypialni Blake'a różniły się tylko tym, że jego łóżko miało pościel, a na podłodze wały się fachowe pisma.

- Przytulnie. - Nagle spojrzała mu w twarz. - Gdzie jest choinka?

- Po co mi choinka?

Dobre sobie! Po co? Obrzuciła go oskarżycielskim spojrzeniem, jakby osobiście zabił Świętego Mikołaja.

Uratował go pager. Popatrzył na ekranik i westchnął. Znowu do pracy. Jednak tym razem było to westchnienie ulgi.

- Muszę iść.

- Rozumiem - zgodziła się uprzejmie. - Też bym chętnie wyszła z tej nory.

- Sama chciałaś tu zamieszkać.

- Tu się nie mieszka. Tu się przebywa. To duża różnica. Nie da się mieszkać wśród zielonych plastikowych krzeseł na burym linoleum.

- Wychodzę do pacjenta z zaburzeniami krążenia. Potem mam wizyty domowe. Rozgość się.

- Mam się tu rozgościć? Ernest nie będzie zadowolony. Znowu ten cholerny Ernest!

- Zadzwoń do Jonasa i Emily i pozał się na warunki pracy - odciął się. - Na pewno coś uradzicie. Jesteście wybornymi organizatorami.

- Jakbyś zgadł.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem. Na odległość wyczuwał, że w jej głowie już rodzi się jakiś plan.

- Nic nie rób. Rozpakuj się.

- Rozgoszczę się. To przywilej każdego gościa.

- Tylko nie to!

- Do roboty, doktorze - rzuciła rozbawionym tonem. - Zajmij się tymi, którzy cię potrzebują. A mnie zostaw wolną rękę.

Gdy dotarł do izby przyjęć, serce Harriet Walsingham zdążyło się uspokoić.

- Najadłam się strachu, doktorze. - Pacjentka usiadła na noszach. - Poczulałam się bardzo niepewnie.

- Proszę się położyć, żeby się nie powtórzyło. - Zakładając stetoskop, pchnął ją lekko na poduszki. - Proszę opowiedzieć" mi szczegółowo, co się stało.

- Leżała nieprzytomna na podłodze w kuchni - odezwał się jeden z dwóch kierowców karetki.

Blake spojrzał na tego młodszego. Starszy, Henry, zawsze i wszystko widział w najczarniejszych barwach.

- Bob, jak to wyglądało? - zwrócił się do jego towarzysza.

- Była przytomna. Łapała powietrze jak ryba wyjęta z wody, ale zdążyła po nas zadzwonić.

- To jest *angina pectoris* - zawyrokował Henry. - Jak już panu powiedziałem przez telefon. Mam rację?

- Nie wykluczam. - Nie po raz pierwszy zatęsknił za dużym miastem i wyszkolonymi ratownikami. Henry był listonoszem w Sandy Ridge, Bob zaś miał sklep z odzieżą męską. Dla tych facetów wezwanie karetki stanowiło największą atrakcję w ich monotonnym życiu.

Szkoda, że szafują diagnozami jak lekarze. Połowa pacjentów, których ten tandem przywoził do szpitala, uprzednio wydawszy swe orzeczenie, była ledwie żywa ze strachu.

- Co to jest *angina pectoris*'? - Harriet na szczęście nie należała do osób, które łatwo przestraszyć. Podobnie jak obaj kierowcy, cieszyła się każdym interesującym wydarzeniem. -Czy to jest coś poważnego?

- Polega na tym, że mięsień sercowy otrzymuje za mało tlenu - wyjaśnił Blake. - Sama w sobie nie jest groźna. Proszę o ciszę, bo muszę cię osłuchać. Zamilkli. Na całe dziesięć sekund.

- Czy mogłaby się mną zająć nasza nowa doktor McKenzie? - zapytała Harriet. - Proszę się nie gniewać, ale zatęskniłam za kobietą lekarzem. Słyszałam o niej same dobre rzeczy. Pamiętam ją, kiedy była nastolatką. Była słodka i... taka cichutka. Nasza nowa doktor McKenzie.

- Skąd wiesz o niej?

- Całe miasteczko o tym mówi. To przecież wielkie wydarzenie. Lorna jest w zarządzie i powiedziała mi o tym w wielkiej tajemnicy. To miała być dla pana niespodzianka. Powinien pan być zadowolony. To piękny prezent pod choinkę, prawda?

Czy już wszyscy o tym wiedzą?

- Harriet, bądź cicho.

- To jest takie ekscytujące...

- Przestań gadać, bo cię uspię. - Dusznica bolesna to niewielki kłopot, lecz może być objawem znacznie poważniejszych problemów. - Zatrzymamy cię w szpitalu na EKG. - Zerknął na kierowców. - Dziękuję wam, panowie.

- Drobiazg. - Ociągali się z wyjściem. Najwyraźniej coś ich trapiło. - Kiedy poznamy naszą nową lekarkę? - zapytał niepewnie Bob. - Może powinniśmy zorganizować powitalne przyjęcie? Żeby mogła nas wszystkich poznać. Nie było jej tu dziesięć lat. Mogła się zmienić...

- Będzie u nas tylko przez cztery tygodnie. Bob pokręcił głową.

- Lorna powiedziała, że dłużej. Jeśli będziemy dla niej mili. Jeśli po urodzeniu dziecka postanowi tu się osiedlić, to mogłaby dalej pracować w naszym szpitalu.

- I jeśli polubi pana, doktorze - roześmiała się Harriet. - To nie jest wykluczone.

Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Powitalna uroczystość?

- Wątpię, żeby przed świętami znalazło się wielu chętnych, aby wziąć udział w powitalnym przyjęciu.

- To jest Nell McKenzie - zauważył Bob, jakby to miało wyjaśnić wyjątkowy charakter tego wydarzenia.

- Nie rozumiem.

- Mieszkańcy Sandy Ridge mają wyrzuty sumienia wobec Nell McKenzie - zaczęła Harriet. - Chyba słusznie. Nikt z nas nie kiwnął palcem.

- Nie mogliśmy - wtrącił Henry. - Mieliśmy to zakazane.

- Nell była taka bezbronna... a oni okrutni.

- Kto?

- Jej dziadkowie, ma się rozumieć. - Harriet chwyciła się za serce. Zbladła.
- Och, chyba znowu się zaczyna.

- Jedziemy na intensywną opiekę - warknął Blake, niezadowolony, że dał się zagadać.

Kategorycznie zabronił sobie myślenia o Nell do końca dnia. Ani razu. Co najwyżej tylko przez chwilę.

Harriet nie zgodziła się, by przewieziono ją do szpitala w Blairglen. Dlaczego ma wyjeżdżać? Doktor Sutherland zajmie się nią nie gorzej od najlepszych doktorów w Blairglen. Uznała, że jej odmowę Blake powinien potraktować jak komplement.

Jej opinię podzielali wszyscy pacjenci. Nie chcieli jechać do większego szpitala, święcie przekonani, że doktor Blake wszystko potrafi.

Doktor Blake i jego zespół. Jaki zespół?

- Nie potrzebujemy drugiego lekarza. - To były jego własne słowa, gdy w końcu zasiadł przy herbacie, u starej rybaczki Grace Mayne. Jej mąż zmarł kilka miesięcy wcześniej i staruszka czuła się bardzo osamotniona. Jej jedyny syn utonął w wieku niespełna dwudziestu lat. Została sama.

Blake od razu ją polubił. Była twarda, silna i zadziorna. Nie znał drugiej kobiety o tak dobrym sercu. Tydzień po pogrzebie męża dopadła ją depresja, więc Blake zaczął ją odwiedzać. By po prostu mieć na nią oko. Tego wieczoru nie miał ochoty na wizyty, ale zmusił się, by zatrzymać się pod jej domem i zamienić z nią parę słów. Wolał nie ryzykować. Od pogrzebu obserwował twarz Grace i niepokoił się jej stanem. Jej życie było pasmem tragedii. Aż dziwne, że chciało się jej żyć. Nieraz widział, jak wyprowadzała łódź w morze i za każdym razem zastanawiał się, czy wróci.

Jeśli długo nie wracała, czuł się wyjątkowo podle. W tej sytuacji postanowił, że niezależnie od nawału zajęć będzie do niej wpadał na pogawędkę. Tego wieczoru najbardziej oczywistym tematem była Nell. Wszyscy o tym mówili. Dlaczego i on nie miałby o niej wspomnieć?

- Nell McKenzie... - Wyblakłe od słońca oczy staruszki zwięziły się. - Dziewczynka, którą wychowywali doktorostwo McKenzie? - Blake przytaknął. - Pamiętam, jak wyjeżdżała na studia - rzekła powoli. - Więcej jej nie widziałam.

- Odnoszę wrażenie, że postanowiła wrócić na stałe. Grace potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Dlaczego? Nie było jej tu dobrze.

- Naprawdę? - Blake był zadowolony. Nareszcie udało mu się rozniecić iskierkę zainteresowania w jej oczach.

- To nie nasza wina. Jej dziadków. Ale my nie zrobiliśmy nic, żeby temu przeciwdziałać. - Wpatrywała się w pustą filiżankę. Blake zauważył na jej wargach cień uśmiechu. - Nell McKenzie... Kto by pomyślał?

- Dobrze ją znałaś?

- Nikt jej nie znał. Nie wolno nam było odzywać się do niej.

- Dlaczego?

Kobieta milczała. Dalej wpatrywała się w fusy na dnie filiżanki, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Dobrze, że nie ma dzisiaj samobójczych myśli, pocieszał się Blake, wstając od stołu. Dostarczył Grace tematu do rozmyślali, mimo że nie miał pojęcia, dlaczego tak się nim zainteresowała.

Bogu dzięki, że coś ją zainteresowało.

Wracał do domu po północy. Otworzył wszystkie okna w samochodzie i włączył radio, ale nadal miał świadomość, że w każdej chwili może zasnąć za kierownicą.

W szpitalu zaszedł do Haniet, która spokojnie spała podłączona do monitora. Oglądając wyniki jej badań, doszedł do wniosku, że gdzieś musi być zator. Nic nie wskazywało na uszkodzenie mięśnia sercowego, badanie krwi również nie wykazało innych nieprawidłowości.

Niepokoił go jej słaby puls. Potrzebna jest konsultacja kardiologa, pomyślał. I pewnie rozrusznik. Zejdzie mu co najmniej parę godzin na tłumaczeniu tej pacjentce, że sam nie jest w stanie wszczepić jej rozrusznika oraz przekonaniu jej, że musi pojechać do Blairglen.

W końcu, już niemal z zamkniętymi oczami, otworzył drzwi łączące szpital z mieszkaniem lekarzy.

Stanął jak wryty. Nell na niego czekała.

- Strasznie długo cię nie było - zauważyła. - Nie spodziewałam się, że zaraz wrócisz, ale to jest przesada.

- Co? - Nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

Po pierwsze, Nell przeszła transformację. Zniknęły jej fioletowe ogrodniczki, a na ich miejscu pojawił się wiśniowy płaszcz kąpielowy do samej ziemi. Leżała na kanapie, a spod szlafroka wystawały tylko jej palce u stóp. Wyglądały jak...

Nie wiedział, z czym mu się skojarzyły.

Na czym ona leży? Gdzie jest ceratowa leżanka? Gdzie jest jego stołowy komplet?

Kanapa, na której siedziała Nell, była rozłożysta. Wyglądała jak sterta miękkich, pluszowych poduszek. Była tego samego wiśniowego koloru co jej płaszcz kąpielowy. Wręcz zapraszała, by na niej usiąść, zapaść się w jej miękkości i...

- Coś ty zrobiła z moim domem?

- To jest nasz dom - poprawiła go. - Jako lekarz formalnie zatrudniony w tym miasteczku mam takie samo prawo do tego domu jak ty. Nie podoba ci się? - Podniosła na niego spojrzenie zranionej sarny. - Bardzo się starałam. Co powiesz o moim szlafroku? - Była nim zachwycona. - Należał do dziadka. Szkoda, żeby stę zmarnował.

Słowa uwięzły mu w gardle.

- Uwijałam się jak fryga.

- Widzę. Co jeszcze jest tu nowego?

Wszystko. Zniknęły plastikowe meble. Na ich miejscu stanęła wiśniowa kanapa oraz ogromne wyściełane fotele. Stół też był nowy, a raczej bardzo stary. Przy nim krzesła do kompletu. Dywany. Trzy ogromne tureckie dywany zaścielały całą podłogę.

Obrazy na ścianach!

- Przywiozłaś to wszystko w walizce?

- Machnęłam czarodziejską różdżką.

Popatrzył na zegarek. Nie było go równo pięć godzin.

- Rozumiem, że wyskoczyłaś po zakupy. Albo wezwałaś dekoratora wewnątrz.

- Nic z tych rzeczy.

- Mów jaśniej.

- Udałam się na spacer i spotkałam Boba i Henry'ego, zanim pojechali do szpitala.

Musiał to przemyśleć. Bob i Henry...

- Kierowców karetki?

- Znam ich z dzieciństwa - wyjaśniła. - Nie byli wtedy kierowcami. Z Bobem chodziłam do szkoły. Był przerażony, kiedy pokazałam mu, w jakich warunkach musimy mieszkać. Obaj byli wstrząśnięci.

- Masz to od niego? - Miał taką głupią minę, że Nell nie mogła się nie roześmiać.

- Nie. Z mojego domu.

- Z twojego domu.

- Już ci o nim mówiłam. - Nie traciła cierpliwości. - Odziedziczyłam dom na urwisku. Od dawna nikt tam nie mieszka, ale jest w nim pełno pięknych rzeczy. Jak ta. - Poklepała kanapę. - Wiedziałam, że jest bardzo wygodna, chociaż nie pozwalano mi na niej siadać. Całe życie o tym marzyłam.

Był bliski pomieszczenia zmysłów, a miał jeszcze tyle pytań.

- Jak to przetransportowałaś?

- Karetką. Jak inaczej?

- Wykorzystałaś karetkę do przewożenia mebli?!

- Gdybym tego nie zrobiła, jutro karetką musiałaby mnie wozić z powodu pęknięcia kręgosłupa. - Uosobienie niewinności. - Była to akcja w ramach programu medycyny zachowawczej. To moja specjalność. Moje autko ma tylko niewielki bagażnik na dachu. Kiedy im wytłumaczyłam, na czym polega

mój problem, zaproponowali mi pomoc. Wyjęliśmy nosze i ruszyliśmy po meble. Pięć kursów.

- A gdyby trzeba było jechać do wypadku?

- Wyładowalibyśmy wówczas meble i chłopcy pojechaliby gdzie trzeba.

Naprawdę uważasz, że postąpiliśmy nieodpowiedzialnie?

Sam nie wiedział, co myśli. Przeszedł przez pokój i już miał całym ciężarem opaść na fotel, lecz natychmiast się poderwał. Jedna z poduszek się poruszyła!

Podniosła się, stanęła na czterech łapach i posłała mu nieprzyjazne spojrzenie. Co jest grane?

- Poznaj Ernesta. - Nell uśmiechała się. - Erneście, przedstawiam ci doktora Sutherlanda.

Nareszcie wie, kim jest Ernest. Spoglądał na najsmutniejszego, najbardziej żalosego przedstawiciela psiego gatunku. Stary cocker-spaniel miał posiwiałe czarno-białe łaty, obwisłe uszy i ogromne smutne oczy. Patrzył na Blake'a, jakby ten wyrządził mu niewybaczalną krzywdę.

- Nie usiadłem na tobie - bezwiednie zaczął Blake. - Byłbym usiadł, ale nie usiadłem.

Pies nie spuszczał z niego oskarżycielskiego wzroku.

- Och, przestań...

- Nie zwracaj na niego uwagi - rzuciła Nell. - Ernest jest mistrzem we wpędzaniu ludzi w poczucie winy. Nawet tych, którzy na to nie zasłużyli.

- Dobrze mu idzie.

- To prawda. Przygarnęłam go, ponieważ ma taki żaloseny wygląd. To jego największy atut. - Podniosła się, by pogłaskać psa. - Mam go od pięciu miesięcy. Przez cały czas mam wyrzuty sumienia, ale i tak go kocham.

- Czy to jest ten Ernest, który ma urzędować w trzecim pokoju?

- Ja z nim nie śpię - odzegnała się Nell. - On chrapie. Blake popatrzył na psisko i uśmiechnął się posepnie.

- Wygląda na takiego.

Ernest odwzajemnił mu się najbardziej smętnym spojrzeniem w całym psim repertuarze.

- Jest bardzo wrażliwy - ostrzegła go. - Gorzko pożałujesz tego komentarza.

- Gryzie?

- On? - Otwierała w kuchni piekarnik. - Gryzienie wymaga energii. Jego podstawowa metoda karania polega na ignorowaniu.

- Jakoś to przeżyję.

- Zobaczymy. To bardzo skuteczna metoda. Ignorowaniu towarzyszą różne wymyślne dodatki. Sam zobaczysz. Kolacja?

Blake zapomniał już o Erneście. Kolacja!

- Nic nie jadłeś. - Patrzyła na niego. - Bo niby kiedy?

- Ale...

- Oto kolacja. Zostawiłam ci połowę kurczaka w morelach. Skromnie, ale to mój pierwszy występ. Za pierwszym kursem z meblami zatrzymaliśmy się przy sklepie całodobowym. Zrobiłam go, gdy chłopcy przynosili meble. Wyobrażam sobie, że całe miasteczko aż huczy. Karetka z kanapą przed sklepem spożywczym!

Oczami duszy ujrzał tę scenę. Powinien być zły, ale czekał na kurczaka. Och, jak ładnie pachnie!

- Nie pochwalam.

- To zrozumiałe. Jesteś chodzącym poczuciem obowiązku. Nie pochwalasz karetek wypchanych meblami, udkami kurczaka i puszkami z morelami. Czy w tej sytuacji zjesz tę kolację?

Usilnie starał się nie roześmiać. Szalona kobieta!

- Spróbuję.

- Ernest chętnie cię wyręczy.

Tym razem Blake popatrzył spode łba na Ernesta.

- Ani okruszyny.

- On już jadł.

- Kurczaka?

- Psią karmę. Też przyjechała karetką. Ale on nie jest kapryśny i chętnie załapie się na drugie danie.

- Domyślam się. Podziwiam ten kałdun.

- Tym razem dotknąłeś wyjątkowo czulej struny. Nałożyła kurczaka na talerz i postawiła na antycznym stole.

To dopełniło całości. Smakowity zapach. Meble. Pies. Kolorowo ubrana kobieta w zaawansowanej ciąży nakłada jedzenie na talerz...

- Wsuwaj.

Czy można zignorować takie zaproszenie?

- I pozmywaj po sobie - rzuciła, biorąc psa na rękę. - Napracowaliśmy się. Ernest i ja jesteśmy wyczerpani, więc udajemy się na spoczynek. Zostawiamy cię samego.

Gdy wyszła, w pokoju zapanowała nieprzyjemna pustka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ktoś go dusił.

Budząc się, Blake czuł na wargach jakieś kłaki. Może to futrzak? Coś ciepłego bezwładnie przygniatało jego twarz. Gdy usiadł gwałtownie, Ernest zsunął się na podłogę.

Durne psisko leżało na plecach jak sparaliżowane, jakby czekało, aż ktoś je podniesie. O kurczę!

- Głupi pies. Nie wiesz, co to jest szacunek?

Ernest zaskomlał. Coś mu się stało? Blake odrzucił kołdrę, zszedł z łóżka i przykucnął, by z bliska dokonać oględzin. Ernest natychmiast odzyskał władzę w nogach i jednym zwinnym susem skoczył w wygrzaną pościel.

- Ty kreaturo! Zjeżdżaj! - Chwycił psa za obrozę, by ściągnąć go ze swojego miejsca. Nic. Ernest leżał jak nieżywy. Miał

zamknięte oczy i pochrapywał, jakby od wielu godzin spał jak kamień, dbając wyłącznie o własną wygodę.

- Ty albo ja, stary - mruknął Blake, szykując się do ofensywy. Jednocześnie mimochodem zerknął na budzik.

Niemożliwe. Ósma trzydzieści. Wieczorem nastawił go na szóstą! Ktoś go wyłączył...

Weszła tu, kiedy spałem, pomyślał oburzony.

Myśl o Nell, która na palcach zakrada się do jego sypialni, rozzłościła go, podobnie jak ten głupi pies, który teraz śpi w jego łóżku.

- No dobrze. Muszę wstać - rzucił w kierunku Ernesta. -Nie ma sprawy, możesz skorzystać z mojego łóżka. Bardzo proszę. Nie krępuj się.

Ernest nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia.

Trzeba będzie zrezygnować ze śniadania. Przed przychodnią musi zrobić obchód w szpitalu. Dobrze przynajmniej, że nikt w nocy nie dzwonił, pomyślał, ubierając się. Jednak wydało mu się to trochę dziwne. Wręcz niepokojące.

Od dawna nie spało mu się tak dobrze jak tej nocy. Czuł się, jakby wygrał milion. Za to będzie musiał zwijać się jak mucha w ukropie. Przede wszystkim przekonać Harriet o konieczności wyjazdu na kardiologię nawet nie w Blairglenn, lecz w Sydney. Już to samo zajmie mu kilka godzin.

Cholera.

A Nell śpi sobie smacznie za ścianą.

- To się nazywa pomoc! - mruknął, przyczesując włosy. - Ładny mi prezent! Wyłącza mi budzik, napuszcza na mnie psa i się wyleguje...

No tak, ale jest w siódmym miesiącu ciąży i wczoraj ugotowała mu kurczaka z morelami.

- Wcale się o to nie prosiłem - burknął w stronę uspiętego spaniela. - Wolę jeść jajecznicę na grzance i nie spóźniać się do roboty. - Trzasnął drzwiami łazienki, przeszedł przez swój nowy salon, starając się nie widzieć, jak prezentuje się w świetle dziennym, i wszedł do szpitala. - Ładny mi prezent - powtórzył, przypominając sobie, co go czeka. - Do północy się nie wyrobie!

Tak się jednak nie stało.

Powitał go rozpromieniony pielęgniarz Donald.

- Nasza doktor McKenzie powiedziała, że pan śpi. Aż nie mogliśmy jej uwierzyć.

- Wasza doktor McKenzie?

- Krząta się od dwóch godzin. Zjadła z nami śniadanie i przy okazji dała nam się lepiej poznać. Fantastyczny dzieciak. - Donald miał pięćdziesiąt lat i każdy poniżej pięćdziesiątki był dla niego „dzieciakiem”. - Podziwiam jej fachowość. - Nie zwracał uwagi na minę Blake'a. - Louise nie mogła sobie poradzić z założeniem kroplówki Jeffersonowi, a Nell zrobiła to za pierwszym podejściem. Louise mówi, że Nell ma niebywale zgrabne palce.

- Dopuszciliście ją do pacjentów? - Blake podniósł głos, lecz Donald nie dał się zastraszyć lekarzowi.

- Dlaczego nie? Blake, nie wygłupiaj się. Ona ma dyplom. I aprobatę zarządu. Na dodatek zadzwonił do mnie Jonas z Bay Beach i osobiście poręczył za jej kwalifikacje. Pamiętam ją z dzieciństwa, więc ucieszyłem się jak szalony, że wróciła.

Blake nie szalał z uciechy.

- Wiedziałaś wcześniej, że chce tu przyjechać?

- Doktorze Sutherland, wszyscy o tym wiedzieli. Świat zwariował.

- Gdzie ona jest?

- Zrobiła obchód całego oddziału. Jedyne problem mieliśmy z Jeffersonem. O piątej rano.

- Mieliście problem z jego kroplówką i mnie nie wezwaliście?!

- Zdajemy sobie sprawę, że w jego przypadku kroplówka jest nieodzowna. Oraz że jeszcze przez kilka dni Jefferson musi dostawać antybiotyki. Nieźle go ten pajak dziabnął. - Donald napawał się niezadowoleniem Blake'a. - Louise zadzwoniła do Nell zgodnie z jej poleceniem.

- Kiedy wam powiedziała, że macie do niej dzwonić?

- Wczoraj. - Donald uśmiechał się od ucha do ucha. - Po wieczornym dyżurze pielęgniarki poszły pomóc jej przy przewodźce. Ja też. Wieszaliśmy obrazy. Powiedziała nam wtedy, że będziecie wymieniać się wezwaniem. I dlatego Louise zadzwoniła do niej.

- Na mój numer telefonu?

- Na komórkę Nell - tłumaczył Donald. - Podała nam numer. Spokojnie... Spokojnie.

- Ubrała się w fioletowe ogrodniczki?

Tym razem Donald nie był w stanie ukryć zdumienia.

- Dlaczego miałyby przychodzić do pracy w fioletowych ogrodniczkach? Ma biały fartuch, a pod spodem spódnicę w dyskretny wzorek. Idź, obejrzyj. Jest u Harriet.

- U Harriet?

- Bo Harriet ubzdurzyła sobie, że to ty zoperujesz jej serce. Nie dała sobie wybić tego z głowy. Powiedziałem o tym doktor McKenzie. Jest teraz u niej. Chcesz tam zajrzeć?

Ruszył w stronę sali intensywnej opieki, spodziewając się najgorszego. Nic złego jednak się nie działo. Harriet siedziała oparta na poduszkach i uśmiechała się do Nell, która trzymała ją za rękę. Nie wyglądała najlepiej. Widać było, że opuściła ją odwaga. Obydwie popatrzyły na Blake'a i obydwie powitały go uśmiechem. Nell szczerym i ciepłym, Harriet bardzo niepewnym.

Podszedł do staruszki i przejął jej dłoń od Nell.

- Gratulacje. Miałaś spokojną noc? - Spojrzał na Nell. - Domyślam się, że nie było żadnych problemów.

- Wtedy bym cię obudziła - powiedziała Nell z taką pewnością w głosie, że Blake'a niemal zatkało.

Skup się na pacjentce.

- Kołatanie się nie powtórzyło?

- Nie.

- Wybornie. - Zawahał się. - Harriet, musi obejrzeć cię specjalista. Niestety, wiąże się to z wyprawą.

- Do Sydney. - Harriet uśmiechnęła się dzielnie. - Wiem. Nell... doktor McKenzie wszystko mi wytłumaczyła.

- Mów do mnie Nell, proszę. Mówiłaś tak do mnie, kiedy byłam małą. Niech tak zostanie. - Uśmiechnęła się. - Harriet miała wtedy sklep i czasami dawała mi cukierki.

Staruszka spoważniała.

- Nic więcej nie mogłam zrobić. Nikt inny się nie odważył. Te potwory...

- Przestań. Zapomnijmy o przeszłości. Dopisało mi szczęście. Teraz mogę sobie kupić tyle cukierków, ile zechcę. Opowiadałam Harriet o moim koledze, Matthew, ordynatorze kardiologii w Sydney. Ma piękną żonę, dwie pary bliźniąt i takiego samego spaniela jak mój Ernest. Brata Ernesta.

- Matthew jest bratem Ernesta? - zażartował wbrew sobie Blake. - Lepiej go unikać. Ernest to dureń...

- Pies Matthew jest bratem Ernesta - wyjaśniła Nell z godnością. - Jeszcze się z nim nie dogadałeś?

- Dwa takie kundły jak Ernest... - Wzniósł wzrok do nieba. Nell milczała przez chwilę, po czym postanowiła skoncentrować się na pracy.

- Harriet jest skłonna dać się Mattowi zbadać oraz zaakceptować jego decyzję. Już zamówiłam sanitarkę powietrzną.

- Załatwiłaś transport?!

- Z pomocą Donalda. Doszliśmy do wniosku, że Bob i Henry do tego się nie nadają.

- Poza tym gdyby Bob był przez cały dzień w drodze, miasteczko dostałoby pocztę dopiero późnym wieczorem - dorzuciła roztropnie Harriet.

- Wszystko można jeszcze odwołać. Sanitarka przyleci dopiero koło południa. Pomyślałyśmy z Harriet, że masz tyle spraw na głowie, że przed świętami nie należy dodatkowo obciążać cię wszczepianiem rozrusznika.

- Harriet wyraziła zgodę?

- Jeśli Matthew uzna to za konieczne. Harriet nie ma zamiaru żegnać się z tym światem. Zgodziła się wysprzątać mój dom i zrobić dla mnie, a właściwie dla mojego maleństwa, na drutach piękną pelerynkę. Taką, jak kiedyś przed laty zrobiła dla mojej babci. Jak ja wtedy marzyłam o czymś takim!

- Gdybym była wiedziała...

- Teraz już wiesz i już się zgodziłaś, nie zapomnij o tym. Jak wrócisz z Sydney, wełna będzie na ciebie czekać. Wcześniej zadzwonię do Sonii, żony Matta, żeby odwiedziła cię z bliźniętami. Zobaczysz, zrobi ci taką reklamę, że od razu będziesz miała pełno zamówień!

Niesamowita kobieta, pomyślał z uznaniem Blake. Za pierwszym podejściem udało się jej namówić pacjentkę na wyjazd do Sydney, zorganizować jej tam pożyteczne zajęcia i rozprawić się z anonimowością procesu leczenia. Matt jest wprawdzie kardiologiem, lecz dla Harriet będzie także ojcem dwóch par bliźniąt oraz właścicielem psa. Co więcej, pomyślała także o tym, by starszka miała do czego wracać.

- Muszę już iść - oznajmiła Nell, posyłając pacjentce konspiracyjny uśmiech. - Dojrzałam do kawy, a poza tym doktor Sutherland na pewno chce cię zbadać.

- Chyba nie ma potrzeby - zaczęła Harriet. - Dobrze, dobrze. Lepiej z nim nie zadzierajmy.

- To byłoby potworne!

Kwadrans później odszukał Nell. Siedziała w szpitalnej kuchni nad kopiałym talerzem jajeczniczy na bekonie.

- Łap się za swoją porcję. - Gestem wskazała mu kuchenkę. - Powiedziałam kucharce, że zaraz przyjdiesz.

- Nie mam czasu.

- Masz. Trzeba jeść, żeby żyć. Pani Condie zaraz wróci i będzie jej bardzo przykro, jak się okaże, że niczego nie tknąłeś. Powiedziałam jej, że będziesz głodny jak wilk.

Czy ta kobieta musi się wtrącać do wszystkiego?

- Skąd wiedziałaś, że będę głodny? Mogłem zjeść w domu.

- Widziałam, co masz w lodówce. Spleśniały chleb i zgniły bekon. Nawet Ernest by tego nie ruszył.

Zapach był smakowity, a dziewczyna denerwująca. Lecz ma rację. Zje jajecznicę. Gdyby odmówił, okazałby się małoduszny.

- Ernest jada tylko wołową poledwiczkę?

- Jak ma okazję... Dlaczego miałby nią pogardzać?

- Rzeczywiście.

- Nie lubisz mojego psa?

- Twój pies w tej chwili śpi w moim łóżku. W moim łóżku!

- Ojej! - jęknęła, udając skruchę - Musiałam nie domknąć twoich drzwi, kiedy wyłączałam budzik.

- No właśnie...

- Jedz, bo ci wystygnie. Przepyszne.

Blake zjadł pierwszy, drugi, trzeci kawałek bekonu. Przez cały czas był nadęty.

- Uważaj, bo wiatr może się zmienić.

- Słucham?

- Jeśli długo będziesz taki skrzywiony, to może cię spotkać poważna przykrość. Na pewno nie chciałbyś, żeby wszyscy myśleli, że ciągle jesteś wście-

kły. Ale jeśli teraz zmieni się kierunek wiatru, to ten obrażony wyraz twarzy zostanie ci na zawsze.

Głupie przesady.

- Na pewno nie. Kiedy miałam pięć lat, powiedziała mi o tym moja najlepsza przyjaciółka, więc to jest prawda.

- Pani doktor...

- Nell.

- Nie masz prawa wyłączać mojego budzika.

- Byłeś zmęczony, a ja jestem twoim prezentem.

- To cię nie usprawiedliwia. Poza tym moje nocne wezwania...

- Po to tu jestem. To nie są tylko twoje wezwania. Moim pracodawcą jest szpital, więc nie masz prawa uważać, że wszystko, co wiąże się z medycyną, należy do ciebie. Dziś...

- Na dziś już ci wystarczy. Resztę dnia masz wolne.

- Nie. Z Marion dokonałyśmy reorganizacji.

- Co takiego?

- Marion już przygotowała karty. Dobrze by było, gdybyśmy je razem przejrżeli. Zanim zacznę przyjmować pacjentów.

- To ja przyjmuję pacjentów.

- Po południu. - Uśmiechnęła się. - Podejrzewam, że wtedy będę nieco zmęczona i utnę sobie drzemkę. I wówczas będziesz mógł przyjmować, ile dusza zapagnie.

- Tak nie może być! - Uderzył pięścią w stół. Nell przyjrzała mu się uważnie.

- Ty to masz temperament.

- Ja mam temperament?! - Przypomniał mu się poprzedni dzień. - A co można powiedzieć o tobie?

Zastanowiła się.

- Tak, oboje bywamy trudni. Wobec tego negocjujemy. Ma-rion twierdzi, że masz spore zaległości na liście wizyt domowych. Jest zdania, że gdybyś nie dyżurował rano w przychodni, lista znacznie by się skurczyła. Dobrze mówię?

- Chyba tak - odparł po chwili zastanowienia.

- Więc sam widzisz. Byłabym wdzięczna, gdybyś razem ze mną przejrzał tę listę. Żebym wiedziała, kto jest zwyczajnym hipochondrykiem, a kto cierpi na coś poważnego. Szkoda, że teraz można nam wytoczyć sprawę w sądzie. Kiedyś wystarczyło wpisać do karty pacjenta „stuknięty” i mieć go z głowy.

Blake bardzo starał się nie uśmiechnąć.

- Ale...

. - Nic więcej nie potrafisz powiedzieć? - Odłożyła sztucę. - Chcesz się sprzeczać? Doktorze Sutherland, co ma pan przeciwko temu, żebym przyjęła pańskich pacjentów, podczas gdy pan zajmie się naszymi wizytami domowymi?

Nasze. To słowo go zaskoczyło. Od dwóch lat nie występowało w jego repertuarze.

- Wydaje mi się...

- To bardzo rozsądne rozwiązanie. - Oczywiście. Wręcz genialne. - Nie musisz jeździć przez cały dzień. - Wyczuła kierunek jego myśli. - Będę tu również jutro, więc dziś nie musisz odwiedzać wszystkich. Marion sugerowała, że mógłbyś załatwić parę wizyt, wrócić i przed lunchem pobiegać.

- Co ją to...

Nie dała się zbić z tropu. Wszystko zaplanowała.

- Wiem od Marion, że bardzo lubisz biegać, ale od miesiąca nie masz czasu. Musiałeś biegać w pobliżu szpitala, żeby być na każde wezwanie. Dziś możesz biegać, gdzie chcesz. Wrócisz koło pierwszej, weźmiesz prysznic, zjesz lunch, po czym świeżutki i wypoczęty zasiądziesz w gabinecie.

- Wszystko zorganizowałaś.

- Po to tu jestem. - Sprzątnęła swoje nakrycie. - Głową muru nie przebijesz. Pogódź się z losem, doktorku, a kto wie, może z czasem nawet to polubisz?

Jak można to polubić?

W trakcie porannych wizyt domowych co chwila wracał myślami do przychodni. Co robi Nell? Kogo przyjmuje?

- Podobno przyjechała do nas nowa lekarka? - zagadnął go sędziwy Desmond Scott, któremu zmieniał opatrunki na Owrzodzonych nogach. - Taka straszna? - zapytał, gdy Blake się skrzywił.

Jak ujął to Daniel ze szpitala w Sydney? Jest kompetentna. W ustach ordynatora to prawdziwy komplement.

Więc czym się tak przejmuje? Dlaczego nie potrafi pogodzić się z losem? Ponieważ Nell jest... apodyktyczna?

- Wszystko jest inaczej, jak się ma kobietę pod bokiem - zauważył starzec. Dostrzegł zmieszanie lekarza i postanowił dociec jego przyczyny. - Do wszystkiego się wtrącają. Nie potrafią inaczej. Podobno wprowadziła się do ciebie. Zanim się obejrzyysz, będziesz miał w łazience szufladkę z napisem: „Golarka”. A ile się nasłuchasz, jak nie zamkniesz klapy sedesu! Wspomnisz moje słowa.

- Oto mądrość doświadczonego małżonka. - Blake pozwolił sobie na uśmiech. Może rzeczywiście trochę przesadza?

- Moja Lorna jest najszcześliwsza, jak może od rana do wieczora wszystkim organizować życie - pochwalił się Desmond. - Teraz poszła do siostry zanieść jej jedzenie, bo Marge ostatnio słabuje. Będzie zła, że pan przyszedł, kiedy nie było jej w domu. Lubi, jak pan przychodzi. Może podać panu herbatę i przy okazji poplotkować. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do wizyt pana doktora o tej porze. - Zaśmiały się z cicha. - Będzie musiała się do tego przy-

wyknać. Dzięki nowej lekarce będzie pan teraz odwiedzał pacjentów o różnych porach. To będzie dla Lorny straszna rewolucja.

- Doktor McKenzie będzie tu przez cztery tygodnie. Desmond ściągnął brwi.

- Słyszałem coś innego. Grace Mayne powiedziała, że jej zdaniem doktor McKenzie już tu zostanie.

- Spodziewa się dziecka.

- To też wiemy. Ale to przecież nie znaczy, że nie będzie mogła pracować. W dzisiejszych czasach dużo młodych matek pracuje.

Blake wolał skupić się na ranach pacjenta niż myśleć o tym, że Nell nie wyjedzie. Owrzodzenia staruszka były poważne, a skóra cienka i krucha jak pergamin, i zazwyczaj zmiana opatrunków sprawiała mu ból, lecz tym razem Blake był zadowolony, że Desmond zajął się rozważaniami na temat nowej lekarki. Nawet jeśli był jej przychylny.

- Zobaczymy. Na razie nie warto myśleć o tym, ile będzie mogła pracować, kiedy dziecko się urodzi. Poza tym nie może rodzić w Sandy Ridge.

- Nie przyjmie pan porodu?

- Do porodów trzeba mieć odpowiednie zaplecze. - Desmond był emerytowanym aptekarzem i bardzo lubił rozmawiać o medycynie.

- Sądzę, że teraz ma pan takie zaplecze. - Starzec zadumał się. - Z pomocą Nell możecie odbierać wszystkie porody. Oprócz jej.

Blake przyklepił ostatni kawałek plastra. Desmond ma rację. We dwoje są rzeczywiście lepiej przygotowani na niespodziewane sytuacje tego typu. Nie tylko na komplikacje związane wyłącznie z ciążą. Wręcz na wszystkie komplikacje.

Dziwne uczucie. W tej chwili ktoś obcy robi coś, co zawsze należało do jego obowiązków. Nie jest łatwo pogodzić się z taką myślą.

Ma zaplecze. Do tej pory nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Teraz, w drodze do domu, zastanawiał się, co daje takie zaplecze. Nieskończone możliwości.

Pomyślał o Lyn Slater. Lyn ma rodzić za dwa tygodnie. Dotychczas wszystkie ciężarne dwa tygodnie przed porodem wyjeżdżały do Blairglen. Lyn jednak chciała jak najdłużej zostać w domu, bo miała jeszcze dwoje dzieci i nie chciała się z nimi rozstawać na święta. Perspektywa jej porodu spędzała mu sen z powiek. Teraz, we dwoje, mogą nawet pokusić się o cesarskie cięcie.

Gwiazdkowy prezent może okazać się darem nie tylko dla niego. Dzięki Nell poprawi się jakość opieki medycznej w całej okolicy. Pod warunkiem, że Nell jest kompetentna.

Przypomniał mu się komplement Daniela.

Bardzo pociągająca perspektywa. Gdyby jeszcze ta kobieta nie wyprowadzała go z równowagi! I nie była despotką!

Co jeszcze powiedział o niej Daniel? Cicha myszka.

Szkoda, że tak nie jest, pomyślał ponuro. Jasne, że byłoby dobrze mieć u swojego boku lekarza z prawdziwego zdarzenia, zwłaszcza w okresie świąt. Ale niewiele będzie z niej pożytku, jeśli jeszcze przed świętami będzie zmuszony ją udusić.

Kazała mu biegać. Załatwił sześć wizyt i miał ochotę na więcej, lecz w uszach ciągle dźwięczały mu jej słowa. Idź biegać na plażę. Od paru miesięcy nie biegał po plaży!

Bieganie było jedynym sposobem ucieczki od rzeczywistości. Odkąd Sylvia... Powiedzmy, że biegał zawsze, odkąd czuł potrzebę ucieczki. Bieganie stało się wręcz nałogiem. Musiał biegać, by nie oszaleć, więc codziennie, niezależnie od zmęczenia, pokonywał kilkanaście kilometrów.

Tutejsza plaża była piękna: długa, piaszczysta i skąpana w słońcu. Niemal słyszał, jak go przyzywała.

Nie powinien. Pacjenci czekają. W końcu uznał, że nie może odrzucić propozycji Nell. Wrócił do domu, wyrwał Ernesta z drzemki, zapytał go grzecznie, czy miałby ochotę z nim pobiegać, lecz gdy spaniel popatrzył na niego jak na szaleńca, ruszył na plażę sam.

Biegał godzinę. Pół godziny na północ, pół godziny na południe. Potem, pod wpływem chwili, rzucił się do wody i zaczął pływać. Gdy wyszedł na brzeg, ujrzał na plaży kobietę z psem. Obserwowali go. Nell i Ernest.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Niezły, pomyślała Nell, obserwując wychodzącego z wody Blake'a. Gdyby interesowali ją mężczyźni, i gdyby podobali się jej chłopcy ze środkowych stron magazynu kobiecego „Women Only”, to kto wie...

- Dostałam już za swoje - zwróciła się do Ernesta. - Ty jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu. - Przytuliła psa.

Ale nic nie szkodzi popatrzeć.

- Napakowany - stwierdziła ze znanstwem, przyglądając się muskularnej klatce piersiowej i płaskiemu brzuchowi. - Daleko ci do niego - rzekła do spaniela.

Ernest podniósł łeb i ją polizał.

- Nie chciałbyś być taki piękny? Podejrzewam, że jemu też na tym nie zależy - przemawiała. - Emily mówiła, że trzy lala temu stracił żonę i od tej pory tak haruje. I dlatego biega. Myślę, że też dlatego skonfundowała go moja obecność.

Przypomniała się jej rozmowa z przyjaciółką.

- Nie przestaje ani na chwilę - wyjaśniała Emily. - Może gdyby chciał, znalazłby sobie kogoś w Sandy Ridge, albo gdyby Chris nie odszedł na emeryturę... Nic z tych rzeczy. Uparł się wziąć na siebie absolutnie wszystko. I jeśli nie zajmuje się leczeniem, biega jak opętany. Jakby chciał gdzieś uciec...

- Czy jego żona była taka wspaniała?

- Chyba nie. I chyba na tym polega problem.

- Nie rozumiem.

- Nie będę ci tego tłumaczyć - odparta Emily. - Tak mówi Jonas. A to oznacza, że sam nie wie. To są nasze domysły, ale oni mieszkali w zachodniej Australii, więc sama rozumiesz, że niewiele do nas dotarło. Sama go wybadaj.

Intrygująca sprawa. Na razie Nell mogła tylko podziwiać muskulaturę Blake'a i czekać, aż ich zauważy.

Wszędzie ta Nell. Nie ucieszył się na jej widok, bo wtargnęła w jego prywatną przestrzeń. Na niego się nie czeka. Ale ona zdecydowanie to robi. Tego dnia ubrała się w obszerną ciężową sukienkę. Nie taką krzykliwą jak ogrodniczki. Sukienka była całkiem ładna. Zauważył ją już rano, pod jej fartuchem, ale teraz, na plaży, wydała mu się śliczna i...

Co się dzieje? Dlaczego zwraca uwagę na jej stroje? Czy to ważne? Przyszła z tym strasznym kundlem. Dlaczego?

Z nadzieją zerknął na zegarek. Dyżur zaczyna się o drugiej. Cholera. Nie ma jeszcze pierwszej. I nie ma powodu do pośpiechu. Uderzyło go to, że nie musi pędem wracać do pracy.

- Mam kanapki - rzekła na powitanie, wskazując koszyk. Ledwie się domykał. Pewnie w środku jest prawdziwa uczta.

- Zrobiłaś to wszystko między pacjentami?

- Owszem. Jestem superwoman. - Potrząsnęła głową. - Nieprawda. To jest zestaw pani Condie.

Szpitalnej kucharki. Zmarszczył czoło.

- Pikniki nie należą do obowiązków pani Condie.

- Sama zaproponowała. Wszyscy się ucieszyli, że biegasz. Przyjęłam pacjentów, wyszłam z gabinetu i zorientowałam się, że cały personel wie, że jesteś na plaży. W tym mieście nie uchowa się żadna tajemnica. - Uśmiechnęła

się. - Koszyk czekał na mnie w recepcji. Z sugestią, że może i ja mam ochotę na lunch nad morzem. Masz fajnych podwładnych. Wścibskich.

- Muszę wracać.

- Żeby wziąć prysznic przed dyżurem? - upewniła się, zdejmując serwetkę z koszyka. - Jasne. Masz mnóstwo czasu, a tu są kanapki z kurczakiem i awokado. Pycha. I eklerki.

Poczuł się przyparty do muru.

- O tej porze jem owoce. - Zabrzmiało to wyjątkowo żałośnie. Nawet on to wyczuł.

- Dlatego ty jesteś chudy, a ja gruba.

- To nie jest tak, pani doktor. Ty jesteś gruba, a ja chudy, ponieważ *ty* jesteś w ciąży, a ja nie. To nie ma żadnego związku z eklerkami.

Czuł, jak jej roześmiane oczy szacują go bardzo dokładnie. Speszył się.

- No, może nie jesteś chudy, ale nie masz odrobiny zbędnego tłuszczu - sprostowała. - KobiECE magazyny definiują to jako ciało, dla którego warto umrzeć.

- Jakie magazyny?

- Babskie. Zwłaszcza te, które mają w środku rozkładany plakat z boskim macho.

- Ty to czytasz?!

- Są o wiele ciekawsze od literatury medycznej. Poza tym jestem ambitna - dodała z dumą. - Kobieta powinna znać się na dobrej literaturze. Oraz na modzie. - Zmrużyła oczy. - Wiedz, że masz bardzo modną sylwetkę.

- Dzięki. - Czuł, że jeszcze chwila, a zrobi się czerwony jak burak.

- Po twoich mięśniach od razu widać, że nie objadasz się ciastkami z kremem. - Westchnęła. - Nigdy nie będę taka szczupła jak ty. Nawet po urodzeniu Brunchildy.

Ta uwaga wyrwała go z osłupienia wywołanego zainteresowaniem jego ciałem.

- Brunchilda?

- Kopie od rana. Więc jej zagroziłam, że jeśli kopnie jeszcze raz, dam jej na imię Brunchilda. Lub Cornelius, jeśli to chłopiec.

Uśmiechnął się. Przedziwna dziewczyna.

- I natychmiast przestało kopać?

- Nie. - Podała mu kanapkę. - Już widzę, że będę miała problemy wychowawcze. Kopie bez przerwy. Ma przechlapane. Będzie musiało czekać do pełnoletności, żeby zmienić imię. „Nie groź, jeśli nie zamierzasz dotrzymać groźby”. To było motto mojej babki. Będę konsekwentna, - Głos jakby jej posmutniał. - No, może nie za wszelką cenę. Bierz kanapki.

Dlaczego nagle spowaźniała? Usiadł na ręczniku i zaczął żuć kanapkę. Potem drugą. I trzecią. Wyśmienite. Czuł, że nic nie wie o Nell, a sądząc po jej spojrzeniu, niewiele się dowie.

- Wychowywali cię dziadkowie? - zagadnął.

- Tak. - Rysy jej stężały.

- Nie bardzo ich lubiłaś? - brnął, trafiając na mur.

- Można to tak ująć. Weź eklerkę. Mniem!

- Co się stało z twoimi rodzicami? - nie ustępował.

- Nie wiem.

- Jak to?

- Nie wiem, kto jest moim ojcem, a matka podzuciła mnie swoim rodzicom, kiedy miałam trzy miesiące, i zniknęła. Nie mam do niej żalu, że nie wróciła. Dziadkowie powiedzieli mi, że nie miała męża. Mówili o niej „ta dziwka”. Byli wzorem braku tolerancji. Sandy Ridge nie było najlepszym miejscem dla samotnej matki.

- Ale ty wróciłaś. I zamierzasz być samotną, matką.

- Dziadkowie nie żyją. To istotna różnica. Gdyby żyli, ty też dobrze byś się zastanowił, zanim byś tu został.

- Byli aż tacy wredni?

- Nawet bardziej.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie.

Najlepszą formą obrony jest atak.

- Opowiesz mi o swoim małżeństwie?

- Nie.

- No widzisz. - Temat został wyczerpany. - Ernście, chyba już nie chcemy tej kanapki. Miałbyś ochotę...?

Nie zdążyła dokończyć. Dobrze wiedziała, czym zainteresować Ernesta. Spaniel był wielkim miłośnikiem kanapek. Herbatników. Eklerek. Wszystkiego. Gdy resztki zniknęły w psim brzuchu, zapadło milczenie. Blake ze zdziwieniem poczuł, że ta cisza wcale go nie krępuje. Wpatrywali się w fale, zajęci własnymi myślami w poczuciu, że zawarli pokój.

Mam współnika, myślał Blake. Osobę, która będzie dzielić ze mną obowiązki. Dzięki której będę miał czas biegać...

- Wcale nie musisz biegać. - Najwyraźniej czytała w jego myślach. - Na plaży bardzo dobrze się leży. Wierz mi. Jestem mistrzynią spania na plaży.

Zastanowił się. Spać na plaży? Po co?

- Lubię biegać.

- Nie wątpię. Oboje lubimy też leczyć ludzi. Ale w życiu można robić coś więcej niż leczyć i biegać. Można oglądać zdjęcia pięknie zbudowanych ludzi. Albo ubierać choinkę. -

Wyglądała na zirytowaną. - Nie rozumiem, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś. Po przychodni zarządzam ubieranie choinki.

- Będę zajęty.

- Ubieraniem choinki.

- Nell...

- O, zapomniałeś o doktor McKenzie. Robisz postępy.

- Jestem ci wdzięczny, że przejmujesz część obowiązków, ale to nie znaczy, że mamy prowadzić wspólne życie.

O co mu chodzi? Poprosiła go tylko o to, by pomógł jej ubrać choinkę! Chyba przesadził.

- Dlaczego uważasz, że taki jest mój cel? - Zdziwiła się. - Raz już to ćwiczyłam. Wspólne życie z mężczyzną. Drugi raz nie dam się na to nabrać.

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem. Inaczej by mnie tu nie było. Ubieranie choinki to jeszcze nie wspólne życie. Mieszkamy pod jednym dachem. Razem spędzamy Boże Narodzenie. To coś zupełnie innego, doktorze.

Nie mógł się z tym nie zgodzić. Mimo to nadal nie był całkowicie przekonany. No i Nell czyta w jego myślach. To bardzo niebezpieczne...

Dyżur ciągnął się w nieskończoność. Choćby dlatego że wszyscy pacjenci zasypywali go pytaniami o Nell.

- Doktor McKenzie wróciła? Jest lekarzem jak jej dziadek? Kto by pomyślał? Biedne dziecko. Jej matka też sporo ucierpiała. Dobrze, że nie ma już tej wiedzy, jej babki.

Słuchał cierpliwie i udzielał odpowiedzi, lecz czuł, że sam ma ochotę zadawać pytania. Uznał jednak, że musi stłumić w sobie tę potrzebę, ponieważ obawiał się, że Nell nie pozostanie mu dłużna. Nie wiadomo, czym by się to skończyło.

Wspólne życie nie wchodzi w rachubę. Łączy ich tylko wspólny dach nad głową. Oraz Boże Narodzenie. To i tak za dużo.

Okolo szóstej z gabinetu wyszedł ostatni pacjent, więc Blake zajął się przeglądaniem kart pacjentów, których rano przyjęła Nell. Jej uwagi były bardzo skrupulatne. We wszystkich przypadkach podjąłby takie same decyzje. Tak, doktor McKenzie jest dobrym lekarzem. To stwierdzenie nie przyniosło mu ulgi. Owszem, ma mniej pracy, ale w zamian stanął oko w oko z nowym problemem. Pogwałcenie jego prywatności.

No cóż... Już nigdzie nie kupią choinki, pomyślał z pewną ulgą. Co ona sobie wyobraża? Jest za późno na wyprawę do szkółki leśnej, a wszystkie sklepy są zamknięte. Ha!

Wolał jednak nie ryzykować. Jak mógł, tak przeciągał wieczorny obchód. Poszedł na kolację do szpitalnej kuchni, przez cały posiłek walcząc ze zdradzieckimi podszeptami, że Nell zapewne coś przygotowała. Do domu ruszył przed dziewiątą.

Drzewko w jego salonie! Jakie tam drzewko?! Królowa wszystkich bożonarodzeniowych jodeł! Stała w wiadrze pośrodku rodowego tureckiego dywanu Nell. Miała ponad trzy metry średnicy i sięgała sufitu. Jej zapach skojarzył mu się z...

Z Bożym Narodzeniem.

Od kilku lat ignorował te święta. Inni spędzali je z rodziną, podczas gdy on nastawia! nogi połamane na nowych wrotkach lub zajmował się wrzodami żołądków, które nie wytrzymały świątecznego obżarstwa.

Wraz z choinką, którą Nell wprowadziła do jego domu, wróciły wspomnienia, które tak skutecznie wymazywał z pamięci.

- Podoba ci się? - zapytała, gdy przestąpił próg.

Zaniemówił.

- Duża, prawda? - Klęczała na podłodze, nawlekając popcorn na nitkę. - Pomóż mi, zanim Ernest wszystko zeżre.

Wszędzie popcorn. Łańcuchy z kolorowej kukurydzy na drzewku, rozsypana kukurydza na podłodze. Ernest leżał w swoim koszyku z obrażoną miną. Nell podniosła się.

- Trzymaj. - Podała mu igłę z nitką i miskę żółtej kukurydzy. - Ja tymczasem ufarbuję resztę na niebiesko.

Usiadł na brzegu dywanu i wziął się do pracy.

- Skąd wytrzasnęłaś choinkę? - Nie mógł wyjść z podziwu dla jej talentu organizacyjnego.

- Lorna i Des przysłali syna, żeby się dowiedział, czy nie trzeba mi w czymś pomóc. - Uśmiechnęła się. — Pamiętam, jak Des pracował w aptece. Ron jest do niego bardzo podobny. Byłam u Ethel, jak wpadła do niej Lorna. Obydwie zwariowały na punkcie przygotowań do świąt.

- Byłaś u Ethel? - Nie nadażał.

- Wczoraj była taka zrozpaczona z powodu tych lodów, że pomyślałam, że dobrze byłoby do niej zajrzeć. Możesz być spokojny. Wróciła do diety. Gdy przyszłam, ślezczała nad książką kucharską i wybierała przepisy.

Sam powinien był ją odwiedzić, lecz w Sandy Ridge nie było takiego zwyczaju. Po prostu nie starczało czasu. Ale teraz ten czas się znajdzie, olśniło go.

- Piekła pierniczki. Dogadała się z panią Condie. Odda je szpitalowi. Nie zapomniała o nas. - Podniosła blachę pełną pierników. - Chcesz skosztować?

- Nie. Dziękuję.

Nieprawda. Zbrakło mu odwagi. Siedzi na podłodze, nawleka łańcuchy z farbowanego popcornu, je pierniczki... Popatrzył na Ernesta. W psich oczach czaiło się współczucie.

- Ciebie też tak ustawia? - zagadnął go. Z kuchni odezwała się Nell.

- Wszystko słyszałam!

- Ernest prosi o trochę popcornu.

- Pęknie, jeśli mu jeszcze dasz cokolwiek. Jak tylko się odwróciłam, zżarł całą miskę z żółtą kukurydzą. To powoduje wiatry. Dzisiaj Ernest śpi na twoim łóżku.

- Stary, niestety, znowu pokój gościnny - zwrócił się do spaniela, który miał taką głupią minę, jakby wszystko zrozumiał. - Skąd go wytrzasnąłeś?

- Dlaczego pytasz? - Potrząsała garnkiem.

- Wygląda, jakby był strasznie stary.

- Taki się urodził.

- Ile ma lal?

- Weterynarz powiedział, że koło dwunastu.

- Masz go od dwunastu lat?!

- Nie. Gdybym miała go od szczeniaka, to chyba bym wiedziała, ile ma lat.

- Zirytowała ją jego tępota.

- Faktycznie. To skąd się wziął?

- Jest ze mną od kilku miesięcy.

- Poszłaś do schroniska i wybrałaś najbardziej wiekowego burka? - Nie mógł się nadziwić.

- Nie obrażaj mojego psa. Prawdę mówiąc, to on mnie wybrał.

- Jak to się odbyło?

- To długa historia.

- Nie spieszy mi się.

Zawahala się, jakby nie miała ochoty opowiadać.

- Wracalam w nocy ze szpitala i zostalam napadnietą. Nie wiadomo skąd wyskoczylo pięciu wyrostków. Wyrwali mi torebkę i mnie pobili. Kiedy doszłam do siebie, leżałam na ulicy, a Ernest lizał mnie po twarzy.

- Zdaje się, że to jego specjalność - rzekł ostrożnie.

- Zdecydowanie.

- Myślałem, że może przegonił chuliganów.

- Ich było pięciu! Ernest nie jest głupi. Wiedział, że lepiej jest trzymać się w cieniu i ruszyć z pierwszą pomocą.

- Co było dalej? - Zorientował się, że trafił w czuły punkt. Być może nareszcie czegoś się dowie.

- Siedziałam na krawężniku i wrzeszczałam jak opętana. Przy okazji wykrzyczałam wiele spraw, które nie miały nic wspólnego z napadem. Tuliłam Ernesta, a on mnie lizał.

- Rozumiem. - Stał mu przed oczami obraz pobitej Nell, która siedzi na chodniku i płacze. Zupełnie innej niż ta pełna wiary w siebie kobieta, która farbuje popcorn w jego kuchni.

Nie podobał mu się ten obraz. Przyłapał się na tym, że siedzi z zaciśniętymi pięściami, wściekły na wyrostków, którzy odważyli się ją skrzywdzić. Ona już nie jest ofiarą...

- Nic nie rozumiesz. Pojęłam w końcu, że dłużej nie mogę być czyjąś wycieraczką. Postanowiłam wtedy, że Ernest i ja musimy wziąć nasze życie w swoje ręce.

Gdy ich oczy się spotkały, nagle coś się zmieniło. Nie wiedział co, ale sprawiło mu to przyjemność.

- Dzielna z was para! - rzucił półgłosem.

- Też tak myślę. - Rozpromieniła się - Jak na bezdomnego psa i zwariowaną lekarkę, radzimy sobie nieźle. Może nawet powinnam być wdzięczna tym chłopakom. Jak ci idzie? Pospiesz się. Nowa miska gotowa. - Ściągnęła brwi. - Jadłeś coś?

- W szpitalu.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Zrobiliśmy z Ernestem kurczaka w cieście. I budyń czekoladowy.

Blake jadł zimną baraninę z sałata. Niech to szlag. Może jest naiwny? Przestał cokolwiek o sobie wiedzieć. Siedział, bezmyślnie nawlekając popcorn.

Najdłuższe były noce. Czy kiedykolwiek znowu zamknie oczy o jedenastej i otworzy je o siódmej? Leżał, wsłuchując się w wycie wiatru. Z rękami pod głową wpatrywał się w ciemność, dając się nękać dobrze znajomym demonom przeszłości.

Tej nocy jednak były odmienne. W dalszym ciągu widział twarz Sylvii. Tego nie zapomni do śmierci, ale tym razem to nie była ta twarz, którą widział na samym końcu. Przyglądał się jej, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. W święta.

- Nie chcę pomarańczowych. Nie widzisz, głąbie, że tu wszystko jest różowe i białe? - Stała na drabinie i wieszała bombki na oddziałowej choince. - Możesz dalej mi je podawać, ale tylko takie, które pasują.

Nie podobałoby się jej kiczowate drzewko Nell.

- Zorientowałam się, że nie masz żadnych pudełek z ozdobami. Ja z kolei nie mam pieniędzy na takie szaleństwo - oznajmiła, gdy zszokowany dotykał łańcuchów. - Trzeba jakoś sobie radzić.

Podziwiał jej pomysłowość. Przyniosła stertę kolorowych magazynów z poczekalni, po czym wyczarowała z nich papierowe łańcuchy i dziesiątki papierowych latarenek.

- Popatrz! Ta latarenka jest z bicepsów Brada Pittai Sylvia na pewno by zemdlą. Pal ją lichu.

Pierwszy raz tak o niej pomyślał. Do tej pory zżerały go wyrzuty sumienia. Teraz jednak...

Choinka Nell jest piękna, pomyślał, po czym wykrzywił usta w grymasie charakterystycznym dla zmarłej żony.

- Tylko mi tu niczego nie popsuj...

Sama wszystko popsowała. Usiadł gwałtownie i zapalił światło. Od trzech lat robił to każdej nocy. Lecz tym razem przyczyną nie była Sylvia. Choinka nie ma żadnej ozdoby na czubku!

- Przydałby się aniołek - zauważyła ze smutkiem Nell, nim poszli spać. - Wszystkie aniołki już dawno sprzedane. Na aniołka zrujnowałabym się bez mrugnięcia powieką.

Teraz, w środku nocy, przypomniało mu się coś z zamierzchłej przeszłości. Z przedszkola.

- Najpierw złożyć... O, tak. A teraz ostrożnie wycinać. Jeśli nie przetnie się do samego końca, będą się trzymały razem. Papierowe aniołki! Jako zupełnie maluch umiał robić łańcuchy z aniołków.

Zużyli już wszystek papier. Popatrzył na swoje fachowe pisma medyczne na podłodze. Hm, nie zaszkodzi spróbować.

Czwarta rano. Nell spała pięć godzin, ale obudził ją huk fal gnanych nasilającym się wiatrem oraz kopniaki juniora.

- Cornelius, przestań. - Nie pomogło. Westchnęła; wstała z łóżka i powlokła się do salonu.

Na czubku jej choinki wisiała korona z aniołków. Przez chwilę myślała, że to sen.

Blake je wyciął. Dziecinne aniołki wycięte ręką chirurga. Widać to na miernie powycinanych skrzydłach. Idealnie pasowały do jej drzewka.

Blake poświęcił swoje pisma medyczne. Na pierwszym aniele można było przeczytać hasło reklamowe maści na hemoroidy!

Wariat. Całkiem sympatyczny. Pod tą maską niezadowolenia ukrywa się przemiły człowiek. Trzeba będzie mocno się napracować, by się ujawnił, pomyślała.

Po co? Interesuje mnie człowiek, a nie samiec.

Mhm, nie udawaj, Nell.

Telefon, którego jazgot okazał się głośniejszy od zawodzenia wiatru, postawił na nogi ich oboje. Personel otrzymał polecenie obudzenia Blake'a, który miał telefon przy łóżku, lecz Nell też się obudziła. Widziała ze swojego pokoju, jak wstał i rozmawiał przez komórkę.

- Ilu? Wezwaliście karetkę? A straż przybrzeżna?

Nell zerwała się z łóżka i podreptała, by poznać szczegóły. Ernest, zupełnie przytomny, wyglądał na bardzo zainteresowanego i tylko trochę głodnego. Kobieta i pies czekali pod choinką w salonie.

- Jasne. Za dwie minuty będę gotowy. Niech przyjedzie po mnie karetka. Może uda się spuścić mnie na dół.

Wyłączył telefon i zaczął się ubierać, nie zwracając uwagi na Nell. Nie wróżyło to niczego dobrego.

- Czy mogę ci pomóc?

- Nie. - Zapinał spodnie.

- Co się stało?

- Kilku rybaków łowiło z urwiska. Debile.

- Spadli?

Zapomniał, że wychowała się w Sandy Ridge. Wapiennym skałom nie należy ufać, mimo to stale ktoś wychodził na samą krawędź, żeby dalej zarzucić wędkę.

- Tak.

- Na takim wietrze... - Wiatr wieje od lądu, więc tym większa szansa na dobry połów. - Ilu?

- Trzech. Jeden jest w wodzie. Motorówka straży przybrzeżnej już tam płynie. Mimo to życzę mu dużo szczęścia. Dwóch zatrzymało się na skalnej półce. Jeden jest ranny.

- Jadę z tobą.

- Jesteś w siódmym miesiącu ciąży - warknął. - Będziesz nam tylko zawadzać.

Naciągnął sweter, chwycił buty i ruszył do drzwi.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Będziesz tylko zawadzać. - Ile razy to słyszała? Całe życie, pomyślała z goryczą. - Wyjdź z kuchni. Zostaw dziadka w spokoju. Eleanor, idź do siebie.

- Dlaczego?

- Przeszkadzasz.

Z wściekłości zrobiło się jej czerwono przed oczami. Pospiesznie się ubierała. Obrzydliwy facet! Co on sobie wyobraża? Jakim prawem zwraca się do niej w ten sposób?

- To są moi znajomi - rzuciła w stronę Ernesta. - Ja się tu wychowałam. Znam tych ludzi od dziecka. I umiem ich ratować.

Pies patrzył na nią z aprobatą. Gdy była przy drzwiach, pociągnął nosem.

- Niestety, stary. Nie dzisiaj. Przykro mi to powiedzieć, ale byś nam zawadzał.

Gdy w ekstrawaganckich, lecz bardzo praktycznych ogrodniczkach wybiegła na dwór, Blake już odjechał.

Szpital stał na urwisku, nad miasteczkiem. Gdy stanęła na progu, wiatr omal jej nie przewrócił. Ruszyła do samochodu. Rybacy są zapewne na północnej części urwiska, gdzie ściana ma kilkanaście metrów wysokości. Znała co najmniej dwudziestu durniów skłonnych stamtąd wędkować.

Blake nie musiał jej mówić, gdzie ma jechać.

- Kretyn. We łbie mu się przewróciło.

Na pewno ma się za bohatera! Zaparkowała w pewnej odległości od karetki i innych pojazdów. Na samym brzegu ujrzała grupkę mężczyzn, a wysiadając z samochodu, dostrzegła ciemny sweter i kasztanową czuprynę Blake'a. Gdy podbiegła bliżej, z przerażeniem zauważyła, że Blake jest w uprząży i że mężczyźni właśnie spuszczaają go na dół.

- Co wy robicie?! - krzyknęła.

Odwrócili się. Maszerowała w ich stronę poganiana przez strach. Porywisty wiatr w plecy pchał ją w stronę morza.

- Czy wyście powariowali?! Odsuńcie się! - Cała szóstka stała na samiutkim brzegu. - To się znowu może obsunąć! Wciągnijcie doktora z powrotem!

- Nie możemy - rzekł jeden z rybaków, ledwie odrywając wzrok od tego, co działo się w dole. - Można się tam dostać tylko ze śmigłowca, ale nie ma na to czasu. Tam jest Tom i Dan. Dan nie może oddychać. Tom krzyczał, że Dan robi się siny. Stracił przytomność i leci mu krew z ust. Mieliśmy do wyboru spuścić doktora, albo pozwolić Danowi umrzeć.

Blake ruszył rybakowi na pomoc, ponieważ potrafi myśleć tylko o jednym, jej więc przypadł obowiązek troszczenia się o innych. Musi odciągnąć tych półgłówków od krawędzi.

- Gdzie jest szef straży pożarnej? - Dwanaście lat wstecz w takich sytuacjach akcją kierował Allan. Był wyjątkowo bystry i odważny jak lew. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

- W Brisbane. Na weselu córki.

Wzrok zebranych spoczął na niej. Niebywałe! Dziesięć lat temu traktowali ją z góry, jak niechciane dziecko. Teraz, gdy została lekarzem i podniosła na nich głos, oczekują od niej cudów. Ma przed sobą elitę miejscowych głupców.

- Odsuńcie się. - Na czworakach ruszyła naprzód.

Tak, Blake jest na półce, tam gdzie zatrzymali się dwaj mężczyźni. Pochyliła się nad jednym, podczas gdy drugi bezradnie mu się przygląda. Jest lepiej, niż myślała. Skalna półka wyglądała całkiem solidnie.

- Czy Blake ma komórkę?

- Tu nie ma zasięgu.

Trudno, musi myśleć za dwoje. Wycofała się i podeszła do mężczyzn. Trzech rybaków, dwóch strażaków i jeden kierowca karetki. Sami znajomi.

- Bill, podczołgasz się tam, gdzie leżałam. Staraj się mieć środek ciężkości jak najdalej krawędzi. Ktoś musi pilnować liny, a tylko Bill ma dorosłe dzieci.

Zrozumieli.

- Trzeba będzie spuścić Blake'owi tlen. - Zauważyła, że przyjechał na miejsce wypadku ze swą podręczną torbą. W razie czego będzie mógł zrobić tracheotomię. - Henry, masz przenośną butlę z tlenem?

- Jasne, Nell... pani doktor.

- Daj ją Billowi, zanim dotrze do krawędzi. I drugą linę. Im mniej razy będzie się wycofywał, tym lepiej. Przynieś też sól fizjologiczną i wszystko do kroplówki. - Zawahała się. - Bill, podejmiesz się? Mogę cię wyręczyć.

- Nie ma mowy - zaprotestował Bill przez ściśnięte gardło. - Masz maleństwo. Kobieto, zastanów się.

Myślami była już krok dalej.

- Gdzie jest ten trzeci, który wpadł do wody?

- Zabrała go straż przybrzeżna. Mało nie roztrzaskali się na skałach, ale go wyłowili. Wyglądał na nieprzytomnego.

Powiodła wzrokiem po wzburzonym morzu.

- Gdzie oni są?

- Mieli zabrać go na przystań, ale nie wiadomo, czy zdążą przed przypływem.

- Pojadę im na spotkanie - oznajmiła, mimo że nie chciała zostawiać Blake'a i dwóch rannych w rękach tych durni. Lecz ten trzeci może bardziej potrzebować jej pomocy. - Zbierzcie więcej ludzi. Wszystkich strażaków. - Na pewno będą mieli więcej rozumu, pomyślała. - I niech nikt oprócz Billa nie podchodzi do krawędzi. Ułóżcie deski, żeby przy spuszczeniu sprzętu środek ciężkości był jak najdalej. I czekajcie na śmigłowiec! Bo jeśli zaczniecie ich tu wciągać...

Powinna się modlić za wszystkich, mimo to modliła się przede wszystkim za niego. To, co do niego czuła, nie miało większego sensu, ale taka była rzeczywistość. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy przypomniała sobie jego papierowe anioły.

- Miejcie go w swojej opiece - rozkazała im, ruszając do przystani.

Nie będzie łatwo, pomyślała na widok spienionej zatoki. Przystań znajdowała się tuż przy ujściu rzeki, które w porze przypływu przybierało rozmiary imponującego, wzburzonego jeziora. Wypływanie na taką wodę graniczyło z samobójstwem. Rozejrzała się bezradnie i zobaczyła znajomą twarz.

- Grace! - Nareszcie ktoś odpowiedzialny.

Grace Mayne wypływała w morze od dziesiątego roku życia. Teraz miała dobrze po osiemdziesiątce. Była nieprzeciętnie bystra. I tylko ona może jej pomóc.

Stała na nabrzeżu i z grymasem niezadowolenia na twarzy obserwowała ujście rzeki. Popatrzyła na Nell, skinęła głową na powitanie i odwróciła wzrok z powrotem na wodę.

- Motorówka straży... - wykrztusiła Nell.

- Słyszeliśmy. - Grace szacowała morze doświadczonym wzrokiem. W obszernym kombinezonie, z ogorzałą twarzą, wyblakłymi zielonymi oczami i posiwiałymi rudymi włosami wyglądała, jakby sama była jego częścią. - Zawiadomili kapitanat, że wiozą Aarona Gunnera. Źle z nim, ale nie mogą wejść do portu. Też bym się tego nie podjęła.

- Ile to potrwa?

- Ze dwie godziny...

- Mówili, co jest Aaronowi?

- Noga. Kość przebiła skórę. I krwawi. Był nieprzytomny, jak go wyłowili, ale już jest lepiej. Podobno krzyczy. - Zamilkła na chwilę. - Leci śmigłowiec z Sydney. Marion rozmawiała przez radiotelefon z karetką, bo komórka doktora Sutherlanda jest poza zasięgiem. Henry powiedział, że tu jedziesz. Kazał ci przekazać, że śmigłowiec będzie za godzinę, półtorej, ale najpierw zdejmie tych na ścianie. - Przyjrzała się Nell uważnie. - Aaron może nie przeżyć?

Nell przytaknęła. Teraz obydwie wpatrywały się w ujście rzeki. Kodująca się tam spieniona, prawie zupełnie biała woda zmagala się z naporem morza. Żadna łódź nie pokona takiej kipieli. Może jest druga droga? Nell z nadzieją zwróciła się do staruszki.

- Czy mogłabyś mnie stąd wywieźć?

- Przez coś takiego?!

- Pamiętam, jak kiedyś pokonałaś taki przypyw. - Nell uśmiechnęła się. - To była bardzo wyjątkowa sytuacja. Palił się busz i szosa była nieprzejezdna, a w miasteczku zabrakło piwa. Połowa floty ruszyła wtedy do Bay Beach.

- Morze nie było aż tak wzburzone. - Kobieta obserwowała kipieli. - Prąd był słabszy i prawie nie było wiatru.

- Płynęłybyśmy z prądem.

- My?

- Jestem lekarzem.

- Jak twój dziadek. - Stara kobieta patrzyła na nią spod opuszczonych powiek. - Może niezupełnie jak dziadek, skoro dla Aarona chcesz podjąć takie ryzyko. - Odetchnęła głęboko. - Mam osiemdziesiąt trzy lata. Wszyscy bliscy mi pomarli. Nic się nie stanie, jeśli pójdę na dno. Ale ty jesteś brzemienna.

- Aaron zapewne też ma rodzinę.

- Ma - burknęła Grace. - Troje drobiazgu. I miłą żonę. Głupią, ale miłą. Nell ruszyła do samochodu.

- Wezmę sprzęt i możemy startować.

- Chyba oszalałaś. - Nell już tego nie słyszała. Staruszka popatrzyła za nią.

Co powiedziała tej dziewczynie?

„Wszyscy bliscy mi pomarli.” To nieprawda. Jeszcze nie.

Z westchnieniem weszła do łodzi, po czym niespodziewanie się uśmiechnęła. Poczula, że ponure brzemie depresji, które ją przygniatało od śmierci męża, zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Obydwie żeśmy zwariowały. Ale do odważnych świat należy. - Powitała Nell szerokim uśmiechem. - Witamy panią doktor w Sandy Ridge. Cieszymy się, że do nas wróciłaś.

Nie wypłynęły same. Gdy tylko Grace zapaliła silnik, wszyscy rybacy ruszyli ku jej łodzi.

- Co ty robisz?!

- Aaron umiera, a motorówka nie może wejść do portu - ucięła Grace. - Wypływamy. Doktor McKenzie musi go ratować.

- Same nie popłyniecie.

Gdy odbiły od brzegu, Nell miała czteroosobową załogę. Samych rówieśników Grace. Żadnego ryzykanta. Wszyscy doskonale wyposażeni w sprzęt ratunkowy.

- Może jesteśmy starzy, ale przez kilka lat jeszcze będziemy na chodzie - oznajmił sędziwy rybak, gdy prześliznęli się przez ostatni kawałek spokojnej wody. - Razem mamy ponad trzysta lat doświadczeń. Miejmy nadzieję, że na coś się przydadzą.

Gdy Blake usłyszał najnowszą wiadomość, był bliski wydania rozkazu, by natychmiast wyciągnięto go na górę.

- Nie podoba mi się to - skwitował rybak swą relację.

Nie podoba mu się? Głupiec. Żeby zapanować nad emocjami, Blake zajął się pacjentem. Daremnie. Cholerna baba. Przecież jest w ciąży! Wypłynęła z Grace. Ta z kolei ma myśli samobójcze. Odmówiła brania leków, a teraz wybrała się kutrem po niechybną śmierć. Zabierze ze sobą Nell.

Przerażająca myśl. Jego milczenie zaniepokoiło rybaków na górze, aż wszyscy pochylili się nad przepaścią.

- Wszystko w porządku, doktorze?

- Tak...

Wielki Boże, Nell...

Ona też się modliła. Pokonanie wejścia do portu było koszmarnym przeżyciem. Kajakarstwo górskie w starej rybackiej łajbie. Lepsze kutry, z większymi silnikami, były już dawno w morzu, więc jej pozostała tylko wysłużona łódź Grace.

Ubrali ją w kamizelkę ratunkową, przypięli liną i zabronili ruszać się z miejsca. Wszyscy byli przypięci. Pomimo wieku i doświadczenia nie mieli ochoty ryzykować. Grace prowadziła łódź po mistrzowsku. Cudowna staruszka, pomyślała Nell.

Przedzierali się przez białą kipieli. Woda była wszędzie. Przed nimi, za nimi i w łodzi. Już pierwszy bałwan zalał jej oczy. Od tej pory koncentrowała się wyłącznie na oddechu.

Grace i dwaj mężczyźni uczepli koła starali się wspólnymi siłami nie zbaczać z kursu, podczas gdy trzeci uwijał się przy pompach. Tylko Nell tkwiła tam, gdzie ją przypięli.

- Będiesz tylko zawadzać - rzuciła Grace.

To samo powiedział Blake. Słowa babki, których echo słyszała przez wszystkie lata dorosłego życia. Lecz tym razem sytuacja była inna. Musiała zaakceptować tę rolę nieroba, ale czuła się w niej bardzo mała, bardzo słaba i, prawdę mówiąc, bardzo przestraszona. Po raz pierwszy zastanawiała się, czy nie krzywdzi swojego dziecka. Położyła dłoń na brzuchu.

- Jeśli wyjdę z tego, przysięgam ci, że już nigdy nie nazwę cię Corneliussem. Ani Brunchildą. Przysięgam.

W końcu znaleźli się po drugiej stronie piekła. Ostatnia fala wypchnęła łódź niczym korek na spokojniejsze wody. Nell otarła oczy i zaczęła liczyć członków swojej załogi. Cztery pomarszczone oblicza jaśniały radością.

- Kto śmie powiedzieć, że tylko młodzi potrafią pływać? - zaśmiała się Grace. - Zuchy jesteśmy. - W jej spojrzeniu Nell wyczytała błysk uznania. - Dużo nabraliśmy wody?

- Wystarczy, że usiądzie nam tu jaskółka, a pójdziemy na dno. - Lecz wszystkie pompy pracowały pełną parą, więc teraz mogło być tylko lepiej.

Należy jeszcze odnaleźć motorówkę straży przybrzeżnej z rannym Aaronem na pokładzie.

- Schronili się po północnej stronie. - Grace oddała ster jednemu z rybaków, by zejść do kabiny i włączyć radio. - Tam jest spokojniej. Stoją w bezpiecznej odległości od skał, żeby ich nie obijało. Ale Aaron... - unikała wzro-

ku Nell - znowu stracił przytomność. I nie mogą zatamować krwotoku. Oby ta nasza droga przez piekło nie poszła na marne.

Jest! Wysłuzona krypa Grace wypływała zza skały. Blake miał ochotę skakać z radości. Policzył osoby na pokładzie. Zauważył też ogrodniczki Nell. Kochane ogrodniczki. Nawet nie wiedział, jak bardzo je kocha. Kocha? No, podobają mu się, sprostował. Tak, podobają. Nell jest lekarzem. Pracują razem. I dlatego czuł się za nią odpowiedzialny. Nic poza tym.

Załoga motorówki nie dowierzała własnym oczom, gdy podплыnęła do nich łódź Grace z załogą osiemdziesięciolatków. Ich zdumienie sięgnęło szczytu na widok Nell.

Na pewno wyglądam koszmarnie, pomyślała: ledwie żywa, z brzuchem, w przemoczonych ogrodniczkach. Dopiero po chwili odważyła się zerknąć na skalną półkę. Nie powinna tam patrzeć. Nie mogłaby nic zrobić, nawet gdyby Blake z niej spadł.

Boże, miej go w swojej opiece.

Pochylał się nad rannym rybakim. To dobry znak. To znaczy, że pacjent żyje. Od dołu półka wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła się zawalić. Nie myśl o tym. Skup się.

Na Aaronie, nie na Blake'u!

Nie zauważyła, kiedy przeszła do motorówki. Gdy popatrzyła na rannego, ręce jej opadły: w Sydney za kilka minut miałyby go w sali operacyjnej...

- Powodzenia! - krzyknęła Grace na pożegnanie.

Oby się to sprawdziło. Przydałby się Blake lub jakikolwiek drugi lekarz. Kołysanie motorówki utrudniało jej oględziny. Rybak nie miał obrażeń głowy. To znaczy, że przyczyną utraty świadomości jest wstrząs oraz upływ

krwi. Otwarte złamanie obficie krwawiło, mimo że strażnicy założyli opaskę uciskową. Należy ją już zdjąć, by nie dopuścić do martwicy tkanek.

Lub zgonu. Aaron stracił bardzo dużo krwi, czego dowodem był cały pokład nią zalany. By zatamować krwawienie, najpierw trzeba znaleźć rozerwaną tętnicę.

- W torbie jest środek dezynfekujący. Macie więcej? - Przydałoby się całe wiadro. - Świeć prosto na ranę - poleciała, uciskając pięścią miejsce powyżej rany. - Dajcie mi kawałek żyłki. - Rozdzierała i tak już poszarpaną nogawkę spodni rannego. - Ty- wybrała na chybił trafił jednego ze strażników - oprzyj się porządnie o reling. I trzymaj worek z plazmą. Nie ruszaj się. A ty... uklęknij tu i mnie zastąp. Widzisz, gdzie uciskam? Uciskaj to samo miejsce.

Pracowała szybko i sprawnie. Doświadczenie pozwoliło jej nie zwracać uwagi na otoczenie. Nieraz już korzystała z ludzi w roli stojaka do kroplówek. Nie darmo pracowała na urazówce w wielomilionowym mieście. Ale tam mogła liczyć na profesjonalne zaplecze. Przeszkolonych kierowców karet. Ratowników. A tutaj nie ma nikogo. Tylko Blake na skalnej półce.

Nie myśl o nim.

Miała przy sobie tylko cztery jednostki plazmy. To mało.

I gdzie jest ta tętnica? Znalazła ją. Broczyła krwią pomimo opaski. Nie ma wyjścia. Trzeba ją podwiązać, nawet jeśli pacjent miałby przez to stracić stopę.

Podwiązała tętnicę żyłką, po czym odetchnęła głębiej.

- Kiedy przyleci śmigłowiec?

- Mniej więcej za godzinę. Za godzinę!

- Który z was wie, jaką ma grupę krwi? - Musiała o to zapytać. - Zwłaszcza grupę zero minus.

Okazało się, że jest aż dwóch dawców. Wyglądali na braci.

- Jesteśmy krwiodawcami. Doktor Sutherland często nas wzywa. Mamy zero minus.

Cud. Nie dość, że mają odpowiednią grupę krwi, to jeszcze są krwiodawcami! Jeśli Blake używa ich krwi, to znaczy, że są zdrowi. Przetaczanie krwi na kołyszącej się łodzi? Spróbuje. Nie ma wyboru.

- Połóżcie się i zdezynfekujcie ramię. Potrzeba mi bardzo dużo krwi.

Jej stanowczy ton odebrał im mowę. Wytrzeszczyli oczy. Znali ją lub wydawało im się, że ją znają. To jest Nell McKenzie! Mała, biedna dziewczynka, którą nikt się nie przejmował.

- Do dzieła - rzekła, wyczuwając ich wahanie. - Musicie mi zaufać. - Popatrzyli po sobie, po czym pokiwali głowami.

Zaufali jej.

W końcu nadleciał śmigłowiec.

Nell zrobiła wszystko, co mogła. Mężczyznę należało jak najszybciej ooperować, by nie stracił stopy. Zatrzymała krwawienie i dała mu tyle krwi, że nie powinno dojść do uszkodzenia mózgu. Byłaby bardziej z siebie zadowolona, gdyby ranny odzyskał przytomność, ale na razie mogła tylko wpatrywać się w skalną półkę.

Śmigłowiec wkrótce nad nimi zawisł. Jego załoga spuściła nosze i w ciągu dziesięciu minut cała trójka została przeniesiona z półki na brzeg urwiska. Chwilę później rozległ się sygnał karetki. To zapewne Blake i rybak ruszyli do szpitala. Odetchnęła z ulgą. Dzięki ci, Boże.

Dlaczego tak się nim przejmujesz? Przecież to zupełnie obcy człowiek. Nie raz widziała takie dramatyczne sytuacje, więc dlaczego bardziej martwi się o niego niż o innych?

Potem przyszła jej kolej. Z helikoptera ponownie spuszczone nosze oraz dwoje ratowników, którzy okazali się fachowcami w przenoszeniu rannych. Nell poczuła się zbędna.

- Zabieramy go prosto do szpitala. Powinniśmy tam być równo z karetką, więc twój doktor Sutherland od razu się nim zajmie.

Jej doktor Sutherland... Nie wiadomo dlaczego zrobiło się jej cieplej koło serca. Znowu spuszczone linę.

- Teraz twoja kolej - zwrócił się do niej ratownik. - Motorówka dotrze do portu najszybciej za godzinę. Doktor Sutherland ma teraz dwóch pacjentów w szpitalu, więc potrzebna mu będzie pomoc. Prosił, żebyśmy cię dowieźli do szpitala.

Brzmiało to rozsądnie, lecz zrobiło się jej niedobrze na myśl o tym, że ma zostać wciągnięta w uprzęży na pokład śmigłowca. Ma ze sobą juniora.

- Przykro mi, maleństwo - szepnęła, gdy zakładano jej uprzęż. - Jeśli przeżyjemy, sprawię ci najśliczniejsze łóżeczko pod słońcem. I już nigdy nie narażę cię na żadne ryzyko. Obiecuję.

Chwilę później była na pokładzie. Lecieli do szpitala.

Blake aż kipiał z wściekłości.

- Czyś ty postradała wszystkie zmysły?! - wybuchnął, gdy tylko przestąpiła próg. - Urządzasz sobie wycieczki po morzu podczas przyływu? Chyba oszalałaś!

- Wiesz, że nie miałam wyboru - odparła z zimną krwią. - Jaki jest stan Dana?

Jej pozorny spokój odniósł pożądany skutek.

- Stabilny. - Skoro ona potrafi zachować się jak profesjonalista, on nie może być gorszy. - Złamał nos, wybił kilka zębów i na skutek upadku stracił przytomność. To wszystko razem o mało go nie zabiło. Ale po oczyszczeniu dróg oddechowych doszedł do siebie. Jego stan nie budzi niepokoju.

Wydarzenia tego poranka sprawiły, że odczuwała zawroty głowy, lecz na razie nie mogła zajmować się sobą. Nie mogła też zrobić tego, na co miała

największą ochotę: objąć tego faceta i wyściskać go do nieprzytomności. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się bała. O siebie, o dziecko i o niego! O Blake'a? Dlaczego?

Skoncentruj się na pacjentach.

- To znaczy, że teraz musimy zająć się Aaronem. - Wskazała na zakrwawioną nogę rybaka. - Trzeba coś zrobić z tym złamaniem. Podwiązałam tętnicę, ale nadal jest na nią ucisk. Musimy ją wyprostować, zanim prześlemy go naczyniowcowi. Obawiam się, że konieczna będzie podróż do Blairglenn.

- Sam to zrobię, pod warunkiem że podejmiesz się roli anestezjologa.

- Nie żartuj!

- Mam specjalizację z chirurgii naczyniowej. Takie operacje zdarzają mi się rzadko, ale potrafię zrobić co trzeba.

Nie miała powodu mu nie wierzyć. Instykt podpowiadał jej, że ten człowiek nie ma skłonności do przechwałek. Skoro się tego podjął, to tym lepiej, ponieważ czas działa na niekorzyść pacjenta. A konkretnie jego stopy.

Pod wpływem morfiny Aaron na przemian budził się i zapadał w sen. Ścisnęła jego dłonie.

- Słyszysz nas?

Poczuła lekki ucisk. Jeśli reaguje w tym stanie, to znaczy, że ewentualne uszkodzenia mózgu są minimalne.

- Bardzo się cieszę - powiedziała. Obserwując ją, Blake czuł, jak mija mu złość. - Masz bardzo pokiereszowaną nogę. Uśpiemy cię i razem z doktorem Sutherlandem ją zreperujemy. Zgadzasz się? Jest tu twoja żona Wendy. Pamiętam ją ze szkoły. Zanim cię uśpiemy, poprosimy ją, żeby do ciebie przyszła

Podeszła teraz bliżej Blake'a, tak by znaleźć się poza zasięgiem słuchu rannego. Koncentrowała się na tym, co ich czeka. Nie mogła sobie pozwolić na zmęczenie.

- Jesteś pewien? - zapytała Blake'a.

- Jeśli ty na pewno możesz podjąć się roli anestezyjologa. - Obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Nie mamy wyjścia. Jeśli się nie pospieszymy, straci stopę. Przeszłam szkolenie. Dzięki temu dostałam się na urazówkę. Byłam najlepsza w zakładaniu kroplówek w całym szpitalu.

Nie przechwalała się. A Blake dał się przekonać. Jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie. Zorientowała się, że nie uszła jego uwagi burza emocji, jaka kryła się za jej profesjonalizmem. Na szczęście uznał, że nie należy się nią przejmować.

- Wobec tego bierzmy się do pracy. Razem pójdzie nam to gładko. - Dotknął jej ramienia. - Razem...

Nareszcie koniec. Aaron był już w sali pooperacyjnej pod czujnym okiem Donalda, a Dan spał na oddziale.

Całkiem nieźle, pomyślała Nell. Tyle dramatycznych sytuacji i ani jednego zgonu. Sama jednak czuta, jak wyczerpanie przygniata ją coraz bardziej. Ściągnęła fartuch i upuściła go na podłogę. Nie miała siły ruszyć się z miejsca.

Blake nie spuszczał z niej wzroku. Operacja trwała ponad dwie godziny, więc i on był zmęczony.

- Usiądź - odezwał się.

- Nie...

- Usiądź. - Nim się zorientowała, położył jej dłonie na ramionach i posadził w fotelu. - Wyglądasz, jakbyś zaraz miała się przewrócić.

- Wcale nie...

- Nie sprzeczasz się. Masz pełne prawo paść plackiem, gdzie zechcesz.. - Czyżby się jej wydawało, że w jego głosie zabrzmiała nuta troskliwości? - Spisałaś się na medal - dodał, nie kryjąc wzruszenia. - Od samego początku

wszystko graniczyło z cudem. Podwiązanie tętnicy, przetaczanie krwi na rozbijanej łodzi, znieczulenie... Daniel mówił, że jesteś dobrym fachowcem, ale nie miałem pojęcia, że aż tak dobrym.

- Staram się. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Ty też pokazałeś, co umiesz. - Było to oczywiste niedomówienie. W rzeczywistości była zachwycona jego umiejętnościami.

- Padasz z nóg.

- Jeszcze nie - obruszyła się. - Nawet gacie mi już wyschły. - Podniosła nogi. Nogawki spodni były sztywne jak tektura.

- Widzisz? Suche jak pieprz. Ale jestem oblepiona solą...

- Oraz krwią. - Patrzył na jej spodnie z obrzydzeniem. - Widzę też i czuję rybie łuski. Ponadto smar, środek odkażający i Bóg wie co jeszcze. Podwyższę Aaronowi poziom antybiotyku i zwijamy się.

Była zbyt zmęczona, by odpowiedzieć. Teraz on kieruje akcją.

- Jak zdejmiesz te piękne ogrodniczki, poproszę kogoś, żeby zaniósł je do pralni. Szkoda byłoby je wyrzucić.

- Moje piękne ogrodniczki? - Oprzytomniała. - Przecież ci się nie podobają.

- Kto tak powiedział?

- Ty. Twoja mina.

- Pomyliła się - mruknął. - Nie mam nic przeciwko twoim ogrodniczkom. Ani przeciwko tobie. - Zawahał się. - Nell, gdyby nie ty, Aaron już by nie żył. Te półgłówki na urwisku... Kazałem im się odsunąć, ale te tępaki nie ruszyły się z miejsca. Kamień spadł mi z serca, kiedy usłyszałem twój głos.

- Jak ich rozstawiałam.

- Może rozstawiałaś, ale dzięki temu nie spadło mi na głowę paru innych. - Uśmiechnął się, a jej aż zabrakło tchu.

- Chyba powinnam zajrzeć do Aarona i jego żony.

- Zostaw ich mnie. Potem pójdę do przychodni, a pani, doktor McKenzie, zdejmie te paskudne ogrodniczki, weźmie prysznic i się położy. I będzie spać przez resztę dnia. Bez dyskusji - uciał. - Chcesz stracić dziecko?

Rzeczywiście. Dzień był wyjątkowo forsowny. Gdyby coś się stało...

- Nie!

- Wobec tego marsz do łóżka. I nie ruszaj się, dopóki cię nie obudzę.

- Tak jest.

Troska w jego głosie towarzyszyła jej do sypialni. I jeszcze długo po tym, jak zasnęła.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dochodziła siódma, gdy ją obudził. Wolałby tego nie robić, ale uznał, że powinna coś zjeść. Z powodu operacji nie mieli czasu na lunch, a w kuchni nic nie wskazywało na to, by coś jadła. Przygotował kolację. Ciężarna powinna dbać o siebie. Gdy uchylił drzwi do jej pokoju i zobaczył, że śpi jak dziecko, zrobiło mu się jej żal.

Na pewno nie jest dzieckiem, pomyślał, przypomniawszy sobie poranną akcję. Był pełen uznania dla jej umiejętności. To wyjątkowy lekarz. I wyjątkowa kobieta.

Udał mu się ten gwiazdkowy prezent.

Równie dużo szczęścia miał Aaron. Gdyby nie ona, już by nie żył, a jego żona i trójka dzieci samotnie spędzaliby święta.

Ernest zaczął się wiercić w nogach łóżka. Jak szalony machał ogonem, tłukąc o nogę Nell. Otworzyła oczy. I uśmiechnęła się. Ale jak! Blake wpatrywał się w nią oniemiały. W końcu zdołał się otrząsnąć.

- Cześć, śpiochu. Jesteś głodna?

Westchnęła, po czym przeciągnęła się leniwie jak kot.

- Chyba tak. Siódma!

- Spałaś przez pół dnia. Zdaje się, że mogłabyś tak do rana, ale uznałem, że musisz coś zjeść. Przez wzgląd na juniora.

- Nie najlepiej go ostatnio traktuję - przyznała.

Gdy usiadła, zsunęła się z niej kołdra. Natychmiast ją podciągnęła. Zasnęła nago! Blake przez ułamek sekundy miał okazję widzieć jej piękne, pełne piersi.

Nie zaczerwieniła się, lecz... zachichotała.

- Nie mogłam znaleźć koszuli. Szukałam jej przez całe dwie sekundy, ale Morfeusz wzywał mnie tak słodko, że po prostu padłam w jego ramiona.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - rzekł skrepowany.

- Nie bój się. Ernest też nie okazuje zainteresowania, a biorąc pod uwagę, że jest jedynym mężczyzną w moim życiu...

- Szczęściarz.

- Też tak uważam. - Poklepała psa. I Blake znowu ujrzał kawałek jej piersi.

Stary, uspokój się! Jesteś lekarzem, a ona jest w ciąży. Damska pierś nie ma prawa zwałać cię z nóg! Tłumaczył to sobie zmęczeniem. Niczym innym. Trzeba powiedzieć coś sensownego.

- Kolacja czeka.

Już chciała odrzucić kołdrę, lecz w porę się pohamowała.

- Chyba jestem niepoprawna. - Uśmiechnęła się szeroko. - Czy moglibyście obaj wyjść z mojej sypialni?

On też próbował się uśmiechnąć, zbagatelizować sytuację. Strzelił palcami na psa.

- Ernest, wychodzimy. Dama najwyraźniej nie pragnie naszego towarzystwa.

Przejrzała go na wylot.

- To nie ja jestem skrepowana! - krzyknęła, gdy spiesznie ruszyli do drzwi. - Doktorze Sutherland, co się stało z pańską zawodową obojętnością?!

Zniknęła. Gdy znalazł się w kuchni, miał wielką ochotę zamknąć się tam na klucz.

Na kolację był stek, frytki i sałata. Danie podstawowe w repertuarze Blake'a. Prawie co wieczór jadł to samo. Wstawiał mrożone frytki do piekarnika, szedł pod prysznic, a potem smażył mięso i przygotowywał sałatę. Monotonna dieta, lecz trzymała go przy życiu.

Nell zjawiała się w swoim ulubionym szlafroku dziadka.

- Ładnie pachnie. - Pociągnęła nosem. - Nikt mi nie powiedział, że potrafisz gotować.

- To nic wytwornego. - Gdy spojrzał na nią znad patelni, zorientował się, że mierzy go wzrokiem od stóp do głów. Zirykowało go to. - Jaki... jaki ma być twój stek?

- Średnio usmażony. Żebym miała pewność, że już nie żyje.

- Znowu pociągnęła nosem. - Frytki! To się nazywa prawdziwy mężczyzna!

- Uważaj, bo mi się przewróci w głowie. - Jak uczeń robił wszystko, żeby się nie uśmiechnąć. - Siadaj. - Teraz smażył swój stek, ale znowu czuł na sobie jej wzrok.

- Myślę, że możesz napić się wina - powiedziała. - Dzisiaj jest moja kolej na dyżur przy telefonie. Możesz spokojnie jeść i pić, ile zechcesz, a potem iść spać.

Piękny pomysł. Chociaż szalony!

- Muszę wracać do szpitala. Nie zrobiłem obchodu.

- Ja go zrobię.

- To moja działka.

- Czy już zapomniałeś, że dzielimy się obowiązkami? - Uśmiechnęła się rozbijająco, gdy stawiał przed nią pełny talerz.

- Pracowałeś całe popołudnie, podczas gdy ja się wysypiałam.

- Nie będziesz zajmować się moimi pacjentami.

- Obrażę się.

- Proszę bardzo.

- W takim razie zadzwonię do Jonasa i poskarżę się, że robisz mi trudności.

- Jakoś to przeżyję.

- Rozbiorę się do naga!

Ku jej nieskrywanej radości wytrzeszczył oczy.

- Tu cię mam! - Popatrzyła na brzuch. - Chyba słusznie się przeraziłeś.

Nie jestem seksy.

Była zdecydowanie seksy. I to jak! Czerwony szlafrok, rudawe loki i te oczy... Za nic w świecie jej tego nie powie.

- Opowiedz mi o swojej żonie - zagadnęła od niechcienia, nie zwracając uwagi na jego zdumienie. - Jaka była?

- Nie interesuje cię moja żona.

- Oczywiście, że mnie interesuje. - Włożyła do ust frytkę. - Jestem najbardziej wścibską osobą pod słońcem. Emily i Jonas rozbudzili moją ciekawość.

- To ją uśpij. Nic nie powiem.

- Dlaczego?

Zanim odpowiedział, zjadł połowę steku. Nie wyglądała na speszoną. Wręcz przeciwnie, przyglądała mu się jak zaciekawiony wróbel. Czuł, że w duchu śmieje się z jego oporów. W końcu odłożył nóż i widelec.

- Ty mów pierwsza.

- O czym?

- Podejrzewam, że w twoim życiu był jakiś facet. - Sama go do tego sprowokowała. Wcale nie chciał tego wiedzieć, ale być może w ten sposób ostudzi jej zapał.

- Masz na myśli ojca juniora?

- Tak sędzę. - Nabił na widelec kawałek mięsa, udając brak większego za-
interesowania.
- To nudna historia.
- Tak samo nudna jak opowieść o mojej żonie. Oparta brodę na ręce.
- Jeśli opowiem ci swoją historię, zrewanżujesz mi się?
- Zanudzimy się na śmierć.
- Emily twierdzi, że nie chcesz mówić o tym, co się stało i że to cię zabija.
- Niech Emily nie wtyka nosa w nie swoje sprawy.
- Emily jest bardzo dobrym i zaangażowanym lekarzem.
- Wtyka nos...
- Tam, gdzie nie powinna. Wszyscy lekarze to robią. Dobrze wiesz, że
najpoważniejsze problemy wychodzą przy okazji obtartego kolana albo recep-
ty na katar sienny. Pod koniec wizyty wystarczy na chwilę zawiesić głos i już
się zaczyna: „Przy okazji chciałam pana doktora zapytać...” I wychodzi szydło
z worka. Myśli samobójcze albo guz w kroku.
- Nie potrzebuję...
- Potrzebujesz. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Emily ma rację. Zamknąłeś
to w sobie. I to cię niszczy.
- Nie gadaj głupstw.
- Więc mi opowiedz.
- Ty zacznij. Skoro tak dobrze potrafisz pokierować swoim życiem...
- Nie potrafię kierować swoim życiem.
- Opowiedz mi o ojcu juniora. Wzięła głęboki oddech.
- A ty opowiesz mi o swojej żonie? Czuł, że za chwilę puszcza mu nerwy.
- I wtedy się ode mnie odczepisz?
- Już o nic więcej cię nie zapytam. Przysięgam.

- Mów pierwsza. - Już zapomniał, od czego zaczęła się ta rozmowa. Powinien się wycofać, lecz ma przed oczami Nell, która pogryza frytki i patrzy na niego tak łagodnie...

Bardzo chce lepiej ją poznać i jeśli ceną za to ma być opowieść o Sylvii...

- Kto jest ojcem juniora?

Czekał bardzo długo. Nell spokojnie dokończyła kolację, potem odsunęła pusty talerz i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w blat stołu. Nie ma na to ochoty, tak jak ja, pomyślał. Zdziwiło go to odkrycie. Sylvia... no cóż, to była tragedia, ale w życiu Neil na pewno nie było niczego takiego. Może pomyłka, ale nie...

- Myślałam, że ojcem mojego dziecka jest mój mąż.

- Słucham?!

- Byłam głupia, prawda? - Na jej wargach igrał wymuszony uśmiech. Uśmiech upokorzenia.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- W tym celu muszę się jeszcze bardziej cofnąć w przeszłość.

- Nie spieszy mi się. - Zerknął na zegarek. Obiecał pielęgniarce, że wróci za pół godziny.

- Richard był synem księgowego mojego dziadka.

- A dziadek tutejszym lekarzem.

- Owszem. - Odetchnęła głęboko. - Nienawidził mnie. Tak jak babcia.

- Niemożliwe.

- To prawda. Każdy ci to powie. Moja matka była ich jedynym dzieckiem. Wychowywała się w atmosferze represji i nienawiści. Zeszła na złą drogę. Przeze mnie. Potem zniknęła, zostawiając dziadkom, jak to nazywali, owoc grzechu. Chrześcijański obowiązek nakazywał im mnie wychowywać, ale nikt im nie kazał mnie lubić. Dopóki tu byłam, nie mogli spojrzeć sąsiadom w oczy.

- Koszmar.

- Owszem. Matka wyjechała, mając piętnaście lat. Powinnam była pójść w jej ślady. - Ich spojrzenia spotkały się. - Dobrze się uczyłam, a nauczyciele mi sprzyjali. Nie wiadomo dlaczego uznałam, że jeśli zostanę lekarzem, kimś tak cenionym jak dziadek, to może w końcu mnie zaakceptują.

- Tak się stało?

- Uczyłam się dniami i nocami, dostałam stypendium na studia, zostałam lekarzem, a gdy wyrwałam się z Sandy Ridge, przyjechałam tu dopiero, kiedy babcia umarła.

- Kiedy to było?

- Dwa lata temu.

- Rzeczywiście. To ta dama z Beacon Point?

- Tak. Dziadek umarł wcześniej. Skontaktowałam się z nią, byłam jeszcze na studiach, ale powiedziała, żebym nie przyjeżdżała na pogrzeb, bo on sobie tego nie życzył. Więc nie przyjechałam. Zjawiłam się tutaj, żeby pochować babcię. Nie miała nikogo oprócz mnie. I właśnie wtedy poznałam Richarda. - Westchnęła. - Był obecny przy rozmowie, podczas której dowiedziałam się od jego ojca, że jestem jedyną spadkobierczynią majątku dziadków.

- To znaczy, że w końcu cię docenili.

- Nie. Nie mogli mi zostawić żadnych pieniędzy, bo, nie daj Boże, bym je wydała! Byli jednak tacy staroświeccy, że babci nie przyszło do głowy, że powinna spisać swój testament. Dziadek wszystko scedował na nią, a gdyby umarła przed nim, po jego śmierci wszystko miało być przekazane organizacji dobroczynnym. Uznał, że w ten sposób nic mi się nie dostanie.

Był zbyt zadufany, żeby wynająć prawnika i nie wszystkie możliwości wziął pod uwagę. Babcia go przeżyła. Lecz nie spisała własnego testamentu. W ten sposób odziedziczyłam po nich absolutnie wszystko. Przez niedopażenie.

- Masz szczęście.

- Możliwe. - Wykrzywiła wargi w gorzkim grymasie. - Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Za to Richard doskonale był zorientowany. Dzięki ojcu. Dziadkowie byli skapi, a ich wnuczka okazała się sporo warta. Widzisz tę złośliwość losu? Biedna Nell, którą wszyscy pomiatali i mieli za nic, nagle okazuje się milionerką. Do tej pory wiedziałam tylko, co to ciężka praca. No więc dziadkowie pomarli i zjawił się Richard.

Przypomniały mu się plotki, które dotarły do niego wkrótce po tym, jak przeprowadził się do Sandy Ridge.

- Richard Lyons?

- Tak.

- Zakochałaś się w nim?

- Był czarujący. A ja taka głupia, że za niego wyszłam. Było mi bardzo źle na świecie. Byłam samotna, a śmierć dziadków dodatkowo mnie przybiła. Richard był po prostu niewłaściwym człowiekiem, który zjawił się w niewłaściwym czasie. A ja byłam wyjątkowo głupia. Przyjechał tu w odwiedziny do ojca. W rzeczywistości przybył prosić go o pieniądze, ale ja o tym nie wiedziałam. Był w potrzebie, spadłam mu z nieba.

- Pobraliście się?

- A jakże. Bardzo szybko. Czułam się taka samotna, a on był taki... kochający. - Owinęła się ciasniej szlafrokiem, jakby nagle zrobiło się jej zimno. - Richard był księgowym. Miał biuro w Sydney, niedaleko mojego szpitala. Wprowadził się do mnie. To nie był szczęśliwy związek. Dostyc szybko się zorientowałam, że to pomyłka. Kiedy rozważałam możliwość odejścia od Richarda, okazało się, że jestem w ciąży.

- I...?

- Richard zażądał, żebym ją usunęła. Byłam nieszczęśliwa. Miałam grypę i poranne mdłości. Pewnej nocy miałam dyżur, ale szef wysłał mnie do domu. Historia stara jak świat. Zastałam Richarda w łóżku z kimś innym.

- Rozumiem. - Głupia uwaga, ale nic lepszego nie potrafił wymyślić.

- Nic nie rozumiesz. Odechciało mi się wszystkiego. Dosłownie. Samobójstwo wydawało mi się jedynym rozwiązaniem. Ale postanowiłam się przejść. Samotne nocne spacerowanie nie są wskazane. Skończyło się tym, że mnie napadli. Przy okazji znalazłam Ernesta. Pozbieraliśmy się. I przyjechaliśmy tutaj, do domu dziadków. Przesiedzieliśmy parę godzin na urwisku, gapiąc się na morze. Podjęłam wtedy kilka decyzji.

- Jakich?

- Że muszę wziąć życie w swoje ręce. - Wojowniczo uniosła głowę. Blake znał już ten gest i coraz bardziej mu się podobał. - Że nie będę starać się ludziom przypodobać ani zadowalać pozorami ich sympatii. Spodziewałam się dziecka i nie chciałam, żeby jego matka była nikim. Muszę też opiekować się najwspanialszym psem pod słońcem. W związku z tym wyszukałam sobie najlepszego adwokata. Nicka Danielsa z Bay Beach. Teraz jest sędzią okręgowym. Nikt nie zna prawa jak on.

- Pomógł ci?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się. - Okazało się, że szczęście mi sprzyja. Richard nie zorientował się, że przyłapałam go *in flagranti*, ponieważ natychmiast wyszłam z domu. Nadal był przekonany, że jestem kochającą żonczką. Nie miał pojęcia, co go czeka. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że muszę natychmiast wyjechać do Bay Beach, ponieważ zachorowała moja przyjaciółka. Dzięki Nickowi okazało się, że mój spadek już został przepisany na oba nasze nazwiska. Tak żeby Richard mógł wszystko zagarnąć. Nick się przeraził. Wyglądało na to, że Richard zaplanował to wszystko dużo wcześniej. Ale go uprzedziłam. I wygrałam. Po raz pierwszy w życiu.

- Należało ci się.

- Wróciłam do Sydney, wyrzuciłam Richarda z domu i wyjęłam z szafy patchworkową narzutę, którą własnoręcznie uszyłam. Czułam się jak kretyńska. Ile ja godzin przesiedziałam nad tą narzutą na łożu dla małżeństwa, które było fikcją! Pocięłam ją i uszyłam z niej ogrodniczki. Wtedy też podjęłam kolejne decyzje. Między innymi tę, że chcę pracować w Sandy Ridge.

- Richard rozplątał się?

- Wraz ze swoją damą zamierzali wyjechać. Tak, uciekli. Z forszą klientów. Ale bez mojej. Dzięki Nickowi. Richard oszukał wiele osób.

- Łącznie z tobą.

- Nie. Mnie nie skrzywdził. Wyrwał mnie ze śpiączki. Dzięki niemu zrozumiałam, jaka byłam głupia i jak długo to trwało. Można by powiedzieć, że jestem mu za to wdzięczna.

- Czyżby?

- Owszem. Ale jeśli jeszcze spotkam tego gnojka, to go osobiście wykastрую. Bardzo starannie.

- Słusznie.

- Kiedy policja dobrała mu się do życiorysu, okazało się, że wcześniej był żonaty. Dziesięć lat temu. I chociaż związek trwał kilka miesięcy, Richard nawet nie raczył się rozwieść. W ten sposób nigdy nie byłam mężatką ani nie odpowiadam za jego długi. - Odetchnęła. - Teraz już wszystko wiesz. Co ty masz mi do powiedzenia?

- Ja?

- Tak, ty. O twojej żonie. Umawialiśmy się... Zadzwonił telefon. Blake już się ucieszył, że został uratowany, lecz Nell pierwsza dopadła słuchawki.

- Doktor McKenzie. - Słuchała. - Tak. Będziemy za trzy minuty. Nie myśl, że ci się upiekło. - Pogroziła mu.

- Co się stało?

Już była przy drzwiach.

- Zaraz przywiozą Grace Mayne. Znalazł ją sąsiad. Jest nieprzytomna. Kierowca karetki twierdzi, że to agonia.

- Idę.

- Uratowała mi dzisiaj życie. Oraz życie Aarona. Idziemy do niej oboje! Potem tu wracamy i kontynuujemy tę rozmowę.

Henry i Bob z karetki mieli bardzo trudny dzień. Jak na wolontariuszy z niewielkim przeszkoleniem nawet wyjątkowo trudny. Kurs, jaki przeszli, nie przewidywał ćwiczenia profesjonalnego obiektywizmu. Henry i Bob stali teraz nad noszami, a na ich twarzach malował się grobowy smutek. Niewątpliwie lubili, gdy coś się działo, lecz tego dnia mieli dosyć mocnych wrażeń.

- Co się stało? - zapytał Blake, wpadając do gabinetu. Tuż za nim dreptała Nell, raz po raz przydeptując za długi szlafrok dziadka. Musi go dogonić. Uparł się, że sam będzie zajmował się pacjentami. Aby go od tego odzwyczaić, nie może go odstępować ani na krok.

Grace! Nie! Trudno się dziwić rozpacz Boba i Henry'ego. Odkąd Nell sięgała pamięcią, całe Sandy Ridge kochało tę staruszkę. Gdy działo się coś niedobrego, zawsze zjawiała się Grace. Gdy trzeba było pomóc, pierwsza była Grace. To kobieta wielkiego serca. Serce! Oby to nie było serce! Gdyby nie wytrzymało wysiłku tego poranka... Boże, nie pozwól! Staruszka wyglądała bardzo źle. Blake badał jej tętno.

- Czy ktoś wie, co się stało? - rzucił.

- Jej sąsiad. Adam Roberts - wyszeptał Henry. - Adam płynął z nią dziś rano. Powiedział, że jak tylko wrócili, pojechali do domu. - Henry i Bob nawet nie zauważyli stroju Nell. Najważniejsze dla nich było teraz to, że jest lekarzem.

- Czują się dobrze - podjął Bob. - Zjedli ogromny lunch. Nieco spóźniony. Otworzyli nawet butelkę szampana. Grace wypila trzy kieliszki. Trochę się jej zakręciło w głowie, więc poszła się położyć. Adam się niepokoił, więc po kolacji zajął do niej. Znalazł ją... - Głos mu się załamał.

Blake uniósł pomarszczone powieki Grace. Rozszerzone źrenice nie zareagowały.

- Czy to serce? - szepnął Bob. - Myśleliśmy, że Grace będzie żyła wiecznie.

Wszyscy tak myśleli. To ja namówiłam ją, żeby wypłynęła na wzburzone morze, pomyślała Nell. To moja wina.

- Brała tabletki na cukrzycę? - spytał Blake.

- Tabletki na cukrzycę? - zdziwił się Bob. Jednak jego kolega znał odpowiedź na to pytanie.

- Tak. Adam kazał wam przekazać, że ponieważ jedli później niż zwykle i pili szampana, Grace uznała, że weźmie dwie.

- Dwie - powtórzył Blake i twarz mu pojaśniała.

Nell już mu podawała sacharometr. Dwie tabletki! Dzięki Bogu. Bez słowa pobrał próbkę krwi. Po chwili znali odpowiedź.

- Śpiączka - oświadczył, nie kryjąc zadowolenia. - Bardzo niski poziom cukru. Prawie zero.

Henry, zmarszczywszy czoło, gapił się na bezwładne ciało.

- Mogliśmy jej podać sok... No nie, nie mogliśmy. Bo była nieprzytomna. Doktorze, czy nie jest za późno?

- Zapewniam cię, Henry, że nie jest za późno. Ale sam sok by nie pomógł. Założę się, że jak dostanie trochę glukozy, błyskawicznie odżyje. Patrz uważnie.

I tak się stało. Niemal na samo ukłucie igłą staruszka poruszyła się i otworzyła oczy. To są najpiękniejsze cudowne uzdrowienia, jakie zna medycyna,

pomyślała Nell. To nie zawał, tylko śpiączka. Przysiadła na krześle, zupełnie zapominając o zawodowym braku zaangażowania.

- Co ja... ? Gdzie jestem? - Staruszka była zdezorientowana i zaniepokojona, lecz Blake ujął jej dłoń.

- Zapadłaś w śpiączkę. Tyle razy cię ostrzegałem, żebyś nie brała dwóch tabletek naraz!

Grace wodziła wzrokiem po pokoju.

- To Nell.

- Gdybyś wiedziała, jak nas przestraszyłaś.

- Nie chciałam, dziecko. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. - Nell zerwała się z miejsca i pochyliła się, by przytulić staruszkę. - Za nic mnie nie przepraszaj. Po tym, czego dzisiaj dokonałaś...

- Nie wolno ci tylko umierać przez pomyłkę - mruknął Blake, ukrywając wzruszenie. - Teraz zorganizujemy ci coś do jedzenia. Przez noc będziemy monitorować ci poziom cukru we krwi. Nie wypuścimy cię stąd, dopóki cukier nie wróci do normy. - Potrząsnął głową. - Jak na jeden dzień wystarczy nam kłopotów z rybakami.

Grace już mogła się uśmiechnąć.

- I ty to mówisz? Siedziałeś wygodnie na skalnej półce, podczas gdy my ryzykowaliśmy życie.

- Na półce z obsypującego się wapienia.

- Kobiety są bardziej wytrzymałe - odparowała Grace ze stoickim spokojem. Jej stare oczy wpatrywały się w Nell.

W tym spojrzeniu widać było coś, co dziwnie przypominało miłość i troskę.

- I kto to mówi? - Blake czuł się wyśmienicie. Nell jest już bezpieczna u jego boku. Skąd ta myśl? - Jedziemy na oddział - mruknął pod nosem.

- Musisz tak zrządzić? - zapytała Grace. - Nie zamierzam tu zostać. Bob, odwieź mnie do domu.

- Zawieź ją na salę - powtórzył Blake. Uniósł do góry strzykawkę. - Grace, musisz coś zjeść, a potem dobrze się wyspać. My za to musimy w regularnych odstępach czasu sprawdzać ci poziom cukru. Nie puszczę cię do domu, dopóki nie będę miał pewności, że wszystko jest w porządku. - Popatrzył pod światło na strzykawkę. - Będziesz posłuszna, czy wolisz ponieść konsekwencje?

Grace roześmiała się, unosząc ręce w geście poddania.

- Niech tak będzie, doktorze. Pan tu rządzi.

- To mi się podoba.

Uśmiech rozpromienił twarz Nell.

- Ty też powinnaś iść do łóżka. Sam zrobię obchód.

- Będę ci asystować.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Dobrze wiesz, że jest - rzuciła gniewnie. - Grace, ten człowiek mnie unika. Co o tym sądzisz?

- Uważam, że mężczyzna, który unika dziewczyny w takim ponętym stroju, jest chory na głowę. - Staruszka z minuty na minutę nabierała wigoru.

- O rany! - Ten szlafrok! Nie namyślając się, Nell wykonała zgrabny piruet. Świat jest piękny.

- Nareszcie coś nowego, a nie ciągle tylko te białe fartuchy.

- Grace spoglądała na nią z czułością.

Niespodziewanie Nell chwyciła Blake'a za rękę.

- Idziemy, doktorze. Do roboty. - Uszczęśliwiona obdarzyła promiennym uśmiechem Boba, Henry'ego i Grace. - Teraz zrobimy obchód, a potem doktor opowie mi o sobie. Co wy na to?

- Radzę mu, żeby uważał - roześmiała się Grace. - Wygląda na to, że dni samotnego doktora z Sandy Ridge są policzone. Patrząc na was, myślę sobie, że za trzydzieści lat Nell będzie tak zajęta sprawami tego miasteczka jak ja. - W jej opinii była to całkiem ciekawa perspektywa.

Nell poczuła, jak dłoń Blake'a zeszywniała.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Nie próbuj płynąć pod prąd. - Grace nadal się uśmiechała.

- Na to nie ma rady. Naprawdę chcesz mu się sprzeciwić?

Jasne! Na razie jednak nie miał wyboru. Nell trzymała go za rękę. I czekała. Nie ma wyjścia, musi się poddać. Płynąć pod prąd? Pewne rzeczy są po prostu niewykonalne.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Godzinę później udało się Nell ściągnąć Blake' a z powrotem do kuchni, gdzie zasiedli przy dzbanku z kawą.

- Mów - rozkazała.

- Nie. Wypijam kawę i idę spać. Tobie radzę to samo.

- Na pewno nie pójde spać. Nie wykręcaj się. Teraz kolej na ciebie. Opowiedziałam ci historię o głupiej Nell, a teraz chcę się dowiedzieć, dlaczego Blake postanowił z nikim się nie wiązać. Słucham.

Wypił kawę i podniósł się z miejsca. Nell w porę chwyciła go za rękę i posadziła z powrotem. - Siadaj.

- Nie jestem Ernestem- mruknął.

- Nie szkodzi. Siadaj.

Patrzył na ich splecione palce. Jej dłoń była ciepła i silna. Mimo że chciał zachować obojętność wobec tej niezwykłej kobiety, pomyślał o jej wyboistej drodze życiowej.

Jacy byli jej dziadkowie? Pamiętał babcię: niezależną i piekielnie dumną. Namówienie jej, by na kilka ostatnich miesięcy zgodziła się wpuścić do domu pielęgniarkę, kosztowało go sporo wysiłku. Nie polubił jej. Żałował, że starszki już nie ma. Mógłby teraz pójść do niej i zwymyślać ją za smutne dzieciństwo, jakie zgotowała Nell.

Gdyby to dziecko oddano do adopcji, na pewno byłaby kochana. Każdy by ją pokochał. Gdyby dziadkowie ją kochali, nie musiałaby walczyć z tyloma problemami. On też nie zostałaby w to wciągnięty!

- To nie boli aż tak bardzo - zauważyła półgłosem.

- Co?

- Odnoszę wrażenie, że jesteś zły. Czujesz gniew na myśl, że miałbyś obnażyć przed kimś swoją przeszłość?

- Nie mam nic do obnażania. Byłem żonaty, ale już nie jestem. Sylvia nie żyje.

- - Wiem. Emily powiedziała mi, że Sylvia zginęła w wypadku samochodowym.

- I na tym koniec. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Dlaczego Emily uważa, że na wzmiankę o Sylvii natychmiast się zamykasz? Dlaczego nadal tak cię to boli?

- Sylvia zginęła.

- To niczego nie wyjaśnia. Po trzech latach powinna być wspomnieniem. Nie powinna zadawać ci bólu.

- Nic nie rozumiesz.

- Więc mi to wytłumacz.

- Powinnaś iść spać.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Sytuacja wymaga efektów specjalnych. W jaki sposób poprzednio zdołała dopiąć swego? Z uśmiechem sięgnęła do górnego guzika szlafroka.

- Doktorze, daję panu dwie minuty. Potem zacznę się rozbierać. - Nie spuszczając z niego wzroku, rozpięła guzik.

O kurczę! Trzeba jak najszybciej obrócić to w żart!

- Czy stosujesz ten sposób wobec pacjentów, którzy nie chcą wyjawiać swoich problemów?

- Zawsze - odparła, a on omal się nie zakrztusił.
- Nie wierzę.
- Sprawdź. - Jej palce powędrowały do drugiego guzika.
- Ucieknę do szpitala.
- Pójdę za tobą.
- Nie odważysz się.
- Jesteś pewien? - Guzik był już odpięty.

Potem następny. Wolał nie ufać jej rozsądkowi. Rozsądek powinien był nie pozwolić jej na wyprawę łodzią Grace. Striptiz w szpitalu nie dorównuje temu wyczynowi. Mimo woli lekko się uśmiechnął, co ona natychmiast zauważyła.

- Powinieneś wiedzieć, że nie rzucam słów na wiatr. Mów.
- Jesteś niepoprawna.
- Nikt jeszcze tak o mnie nie powiedział. Niepoprawna. To mi się podoba.
- Nell...
- Po prostu mi opowiedz.

Nie miał wyboru. Spróbował, lecz od razu poczuł ból.

- Sylvia... - zaczął przez ściśnięte gardło.
- Wiem, że twoja żona miała na imię Sylvia. Co dalej?
- To była wielka pomyłka.

- Witaj w klubie. Ty i Sylvia. Ja i Richard. Richard na pewno był większą porażką.

- Chyba nie. Zdecydowanie nie. - Znowu zamilkł.

- Niech zgadnę - prowokowała go. - Była nimfomanką, która koniecznie chciała spać nago? - Uśmiechnął się. - Już lepiej. Mów. Wyrzuć to z siebie.

- Była lekarzem - mówił bezbarwnym tonem, jakby opowiadał o kimś innym, nie o sobie. - Poznaliśmy się na ostatnim roku studiów, podczas świą-

tecznego przyjęcia w szpitalu. Była śliczna, inteligentna, dowcipna. Miała wszystko, co moim zdaniem powinna mieć moja żona.

Nie bardzo się to spodobało Nell. Dlaczego? Przecież jego opinia o nieżyjącej żonie nie ma z nią nic wspólnego.

- Tak jak ty miałem stypendium i harowałem, żeby go nie stracić. Były wtedy święta. Zdałem ostatni egzamin, podniosłem głowę znad książek i ujrzałem Sylvie.

- Zakochałeś się?

- Jak głupi. Tak bardzo, że się jej oświadczyłem.

- Pobraliście się?

- Nie. Jeszcze nie. - Popatrzył na obrączkę.

- Dlaczego?

- Sylvia świetnie się bawiła. Była bardzo bystra. W ogóle nie musiała się uczyć. Egzaminy stresowały wszystkich oprócz niej. Jeśli brakowało jej wiedzy, nadrabiała to wdziękiem. Na dodatek prawie w ogóle nie musiała spać. Po feriach, kiedy zacząłem się uczyć do stażu z chirurgii, zorientowałem się, że jest to wielka pomyłka. Ja chciałem się uczyć i spać, a ona nie. Powiedziała mi, że jestem nieciekawym. Skończyłem staż i zacząłem pracować. Ona tymczasem wybrała się do Europy.

- Biedactwo - zadrwiła Nell. Młodzi lekarze muszą dużo pracować, ale taki młody i przystojny lekarz na pewno nie narzekał na nudę. - Trudno mi sobie wyobrazić ciebie w roli pogrążonego w smutku słomianego wdowca. Wyglądasz na faceta, o jakim marzą wszystkie dziewczyny. Po tych pracowitych studiach nareszcie mogłeś zająć się dziewczynami.

- Nie narzekałem na nudę, ale brakowało mi stabilizacji. Sylvia była jak upiór, którego nie mogłem odegnać. Przeniosłem się z Sydney do Niribil, miasteczka nie większego od Blairglen. Mimo że nie miałem tam okazji do

uprawiania chirurgii naczyniowej, lubiłem pracować wśród małej, zżytej społeczności.

I wtedy wróciła Sylvia.

- Rozumiem.

- Na pewno nie. Zmieniła się. Była bezradna. Zagubiona. Ale nadal piękna. Któregoś wieczoru, kiedy wracałem ze szpitala, zastałem ją na swoim progu. Powiedziała, że zatęskniła do mnie i że jeśli nie zmieniłem zdania, wyjdzie za mnie.

- I się pobraliście?

- A ty co byś zrobiła? - Przymknął oczy. - Sam wiele razy ją o to prosiłem. Obiecywałem, że będę na nią czekał. Ciągle była piękna.

- Ale...

- Tak, było pewne ale. Jasne, powinniśmy odczekać. Nie widzieliśmy się przez parę lat. Ale ona nalegała. Kiedy odkryłem przyczynę tego pośpiechu, byliśmy już po ślubie. Była narkomanką. Uważała, że jest bardzo sprytna - rzekł ponuro. - Jeszcze na studiach zaczęła brać prochy, żeby przejść przez sesje, żeby zasnąć, żeby lepiej się bawić. Potem przeszła na prawdziwe, twarde narkotyki. Myśleliśmy, że rozpiera ją radość życia, a ona stale była naćpana. Ale dowiedziałem się o tym znacznie później.

- Kiedy?

- Po jej śmierci.

- Chcesz dalej mówić? Nie nalegam.

- Dlaczego nie miałbym ci opowiedzieć wszystkiego, do samego końca? W Niribil zaczęła pracować jako lekarz. Zarząd szpitala nie sprzeciwił się, ponieważ miała kwalifikacje. Poza tym była moją żoną. Nikt nawet nie kwapił się sprawdzić, jak wyglądała jej praktyka w Europie.

- A gdyby ktoś to sprawdził?

- Wyszłoby wtedy na jaw, że wytoczono jej dwie sprawy o błędy w sztuce lekarskiej. To dlatego wróciła do Australii. - Przygryzł wargę. - Wzięliśmy ślub, i od razu zaczęły się kłopoty. Zacząłem coś podejrzewać, ale nie miałem dowodów, więc siedziałem cicho. Nie mogłem oznajmić wszem i wobec, że moja żona jest narkomanką.

- Nie było tego po niej widać?

- Widać było tylko huśtawkę nastrojów. Myślałem, że to problemy natury psychologicznej. Lecz zanim cokolwiek z tym zrobiłem, przywieziono na oddział chłopca z zapaleniem wyrostka. Sylvia wyszła z pracy wcześniej, pozostawiając szpital bez dyżurnego lekarza. Zadzwonili do niej. Ale jej nie chciało się wstać z łóżka. Przez telefon zaordynowała dziesięć razy mniejszą dawkę antybiotyku, niż należało, i powiedziała, że zbada chłopca rano.

- No nie.

- Zadzwonili drugi raz, ponieważ jego stan gwałtownie się pogorszył. Ale nie mogli jej obudzić. Była naćpana do nieprzytomności.

- A ty gdzie wtedy byłeś?

- Operowałem pacjenta z wypadku drogowego. Gdy chłopiec zapadł w śpiączkę, przyszła do mnie pielęgniarka z pytaniem, jak mają wezwać Sylvie. Zmieniłem dawkę antybiotyku. Po operacji poszedłem do tego dziecka, ale było już za późno. Gdy chłopiec zmarł, pojechałem do domu.

Teraz już wszystko rozumiem, pomyślała Nell.

- Nie mogłem się jej dobudzić, więc przeszukałem jej nocną szafkę. Sześć tygodni po ślubie! - parsknął; - Nie mogłem uwierzyć, co tam zobaczyłem. Ani w to, że byłem taki głupi. Wzięła tyle, że... - Przymknął powieki. - Byłem wściekły. Jak nigdy w życiu. Kiedy wreszcie się obudziła, opowiedziałem jej, co się stało. I wtedy zmieniła się w Sylvie, która mnie wyśmiała, gdy po raz pierwszy jej się oświadczyłem. Powiedziała, że jestem żaloszny i że nie ma

ochoty dłużej tego znosić. Wybiegła do samochodu i odjechała. Bardzo szybko. Wysłałem za nią

policję i sam wyruszyłem na poszukiwanie. Wypadła z szosy kilka kilometrów za Niribil. Żałosne, prawda? Zatrudnili ją, ponieważ była moją żoną, a ja byłem taki głupi, że nie widziałem, co się dzieje. Zawiodłem ich. Oraz ją.

- Dlaczego tak uważasz?

- Powinienem był to dostrzec. Może nawet widziałem, ale nie chciałem się do tego przyznać. Byłem zbyt zakochany. - Zdjął obrączkę, po czym ponownie ją włożył, jakby była łańcuchem, który czynił z niego więźnia. - Przeprowadziłem się do Sandy Ridge. Chciałem pracować sam, żeby od nikogo nie być zależnym. - Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - I nadal tego nie chcę.

- Potrzebujesz mnie.

- Nie potrzebuję. Nikogo nie potrzebuję. Wyciągnęła rękę i ponownie ujęła jego dłoń.

- Nie możesz być zawsze sam z powodu jednego głupiego błędu.

- Z powodu mojego błędu umarł Tommy Vanderboort. Miał sześć lat. I umarł. Podobnie jak Sylvia.

- Wszyscy umrzemy. Ale trzeba żyć.

- Żyję-

- Wyłącznie medycyną, a tym można się podzielić. Po to tu jestem.

- Na cztery tygodnie.

- Na zawsze - odparła prosto z mostu. - I chcę tu pracować. Powinieneś na tym skorzystać.

- Skorzystam przez czas świątecznego natłoku. Potem pojedziesz do Blairglen, żeby urodzić dziecko. To wszystko.

- Weźmiesz na swoje barki dolegliwości całego miasteczka. Jak długo wytrzymasz? Do pierwszego załamania?

- Nie przesadzaj.

- Ciekawe, kto tu przesadza!

- Zostawmy ten temat.

- Nie.

- Nie rozmawiajmy o tym - wycedził przez zęby. - Jesteś zatrudniona na cztery tygodnie. Ani dnia dłużej. Bez mojej zgody zarząd szpitala nie przedłuży ci kontraktu.

- Nie wyrazisz zgody?

- Nie wyrażę.

- Jesteś głupi.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Niespodziewanie uśmiechnęła się, odsunęła od stołu i zamyśliła - Dziwne. Stanowimy dobraną parę. Oboje po przejściach. Różnica między nami polega na tym, że ja nie zgadzam się, żeby te złe doświadczenia zniszczyły mi życie. Nawet podejrzewam, że stały się katalizatorem, który kazał mi zacząć od nowa. Ty natomiast podjąłeś zupełnie inną decyzję. Oznacza to, że mam tylko trzy tygodnie na przekonanie cię, żebyś ją zmienił.

- Niczego nie będę zmieniał.

- Nie jestem narkomanką.

- Nie, ale jesteś...

- Kobieta?

- Tak!

- No proszę. Czy to znaczy, że zatrudniłbyś mnie, gdybym poddała się operacji zmiany płci?

- Nie, ale...

- Co takiego?

- Nic. - Wstał od stołu tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło. - Wracam do szpitala.

- Idź. Zajmuj się chorymi i potrzebującymi. Sam. - Blake się zawahał. - Nie zatrzymuję cię. - Roześmiała się. - Idź, bohaterze. Jeśli ty jesteś bohaterem, ja będę bohaterką.

- Jak mam to rozumieć?

- Skoro jesteś bohaterem dramatu, potrafię ci dorównać jako bohaterka. Z tą tylko różnicą, że ja wyrzuciłam obrączkę. Powinieneś zrobić to samo.

- Nie.

- Zrobisz to. - Chciał coś powiedzieć, ale ona nad czymś się namyślała. - Trzy tygodnie. To niewiele - zauważyła.

- Nie mogę.

- W tym święta. - Ściągnęła brwi. - Sos z brandy. Może to ci pomoże.

- Nell!

- Nie przejmuj się - uspokoiła go. - Zostaw to mnie.

- Co mam ci zostawić?

- Wyleczenie twojego złamanego serca. To moja specjalność. Ja pocięłam swoją ogromną narzutę, i to mnie wyleczyło. Co ty masz do pocięcia?

- Nic. .

- Coś wymyślę. Na co czekasz? - podjęła przerwany wątek. - Musisz iść do roboty. - Odprawiła go gestem. - Zjeżdżaj.

- Ale...

- Idź już. I daj nam z Ernestem spokojnie pomyśleć. Jeszcze nigdy nikt nie kazał mu zjeżdżać. Nie miał jednak wyboru. Posłusznie zamknął za sobą drzwi.

Siedziała pod choinką. Nawlokła kilka ziaren popcornu, zjadła całą garść, przytuliła psa i dała mu resztę kukurydzy.

- Jestem gruba jak wieloryb - wyjaśniła. - Jeśli cały ten balon to moje dziecko, to znaczy, że waży z dziesięć kilo.

Ernest rzucił jej współczujące spojrzenie, po czym zajął się popcornem.

- Co zrobić z Blakiem? Pies nie miał pojęcia.

- To znaczy, że wszystko jest na mojej głowie.

Ernest pochłonął ostatnie ziarenka, po czym powiódł tęsknym wzrokiem w stronę kuchni.

- Uważasz, że to nie moja sprawa?

Pies nie wyraził zainteresowania, ponieważ myślał tylko o kukurydzy.

- To prawda. Przywracanie Sutherlanda temu światu nie jest mi potrzebne do szczęścia. Ale muszę postarać się o pół etatu. Nie zamierzam rozstawać się z medycyną. Poza tym chcę tu dalej mieszkać. - Zamyśliła się. - Może należałoby zająć się tym dopiero po narodzinach juniora? Jak uważasz? Niech przez ten czas Blake kisi się we własnym sosie? Może to by poskutkowało? Emily twierdzi, że on jest o krok od załamania.

Ernest polizał jej rękę. Zaczęła drapać go za uchem.

- Poczekamy, aż pęknie, i dopiero wtedy przybiegniemy mu na ratunek? Jak prawdziwa bohaterka taniego dramatu? Oraz jak pies prawdziwej bohaterki?

Uśmiechnęła się chytrze, po czym podrapała go po grzbiecie. Ernest z rozkoszy przewrócił się do góry brzuchem.

- Ale wtedy mogę go stracić. Wszyscy go stracimy. A nikt tego nie chce. Dlaczego? - Zastanowiła się. - Bo jest świetnym lekarzem. - Wiedziała, że nie jest to główny argument. Wcale nie chodziło o to, jakim Blake jest lekarzem...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Piąta rano. Nie wiadomo dlaczego Blake się obudził. To nie był telefon. Wstał i ruszył do salonu. Stanął jak wryty.

Nell siedziała pod choinką, obok niej spał Ernest. Próbowwała na brzuchu utrzymać filiżankę z herbatą. Miała na sobie piżamę w różowe słonie. Wyglądała rozkosznie. I bardzo samotnie. Jak ktoś, kogo należy wziąć w ramiona i...

Otrząsnął się i szerzej uchylił drzwi.

- Co robisz? - zapytał szeptem. W tej samej chwili filiżanka na brzuchu Nell podskoczyła, oblewając herbatą różowe słonie.

- Cholera! - rozzłościła się. - Już trzeci raz.

- Trzeci raz?

- Mój brzuch jest bardzo niepewnym stolikiem, zwłaszcza kiedy junior zaczyna się wiercić. Dwa razy rozlałam herbatę przez niego, za trzecim podskoczyłam, bo mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam - bąknął. - Powtórz, co robisz? Mimo że się uśmiechała, sprawiała wrażenie smutnej.

- Nic takiego nie mówiłam.

Blake nagle zorientował się, że i on jest w piżamie. Prawdę mówiąc, miał na sobie tylko spodnie. Peszył go nagi tors... oraz bliskość Nell. Przestań!

- Nie powiesz mi, co robisz?

- Czekam na Świętego Mikołaja.

- To jeszcze cały tydzień.

- Jestem bardzo cierpliwa.

- Jesteś też bardzo ciężarna. Powinnaś spać. Zaskoczyła ją troska wyczuwalna w jego głosie.

- Powiedz to Corneliusowi.

- Rozrabia?

- Kopie własną matkę - poinformowała go z godnością. - Jak tylko się pojawi, natrę mu uszu.

Blake zawahał się. Powinien wracać do łóżka i zostawić Nell pod choinką. Nie mógł jednak oprzeć się pokusie. Przeszedł przez pokój i usiadł obok niej.

- A ty jaki masz pretekst? Kto cię kopie?

- Nikt. Obudził mnie łomot psiego ogona. - Tak, to chyba to zakłóciło mu sen. Ernest był wniebowzięty. Leżał z głową na jej kolanie i jak szalony tłukł ogonem w podłogę.

- Oj, przepraszam. Zaraz go uspokoję. - Chwyciła psa za ogon. Lecz radość Ernesta okazała się silniejsza.

- Ciekawe, jak tego dokonasz?

- Większości spanieli ucina się ogon wkrótce po urodzeniu. - Popatrzyła na Ernesta. - Chociaż nie wyobrażam sobie, jak można zrobić coś tak okrutnego. - Westchnęła. - Przyznaję, że nie mam pojęcia, jak temu zaradzić. Nie sprawdzam się jako treserka dzikich zwierząt.

- Masz inne zalety.

Siedzieli na tureckim dywanie pod choinką. Szkoda, że nie ma na niej światełek, pomyślał. Musi pamiętać, by je kupić. Ten element dekoracji nagle wydał mu się bardzo ważny.

- To ładnie z twojej strony, że mnie pocieszasz, ale na razie nie mogę się poszczycić żadnym osiągnięciem. Jak ja sobie poradzę w roli matki?

- Będiesz cudowna.

- Tak sądzisz? Panicznie się tego boję.

- Dlaczego miałabyś być złą matką?

- Bo nie miałam wzorca. Miałam dziadków, ale oni nie byli dobrymi wychowawcami. Gdybym chciała ich naśladować, za pierwszym razem, gdyby junior mnie zirytował, kazałabym mu wynosić się z domu. Powiedziałabym mu, że jest trutniem i że wszystkim zawadza.

- Tak ci mówili?

- Codziennie.

- Czy wiesz, co stało się z twoją matką? - zaryzykował. Może nie jest to najlepsza sceneria do zadawania takich pytań, ale przecież nie może jej zostawić samej. Świadczyłoby to o egoizmie. Czyim? Nie jego, bo on przecież chce zostać.

- Nie żyje.

- Wiesz to na pewno?

- Zaczęłam jej szukać zaraz po studiach, jak tylko miałam pieniądze na detektywa. - Westchnęła. - W końcu dowiedziałam się, ale nie było to nic przyjemnego. Piętnastoletnie dziewczyny w ciąży wyrzucone na bruk przez rodziców rzadko żyją długo i szczęśliwie.

Przytaknął. Nieraz miał do czynienia z dziećmi ulicy.

- Twoi dziadkowie mają sporo na sumieniu.

- Tak.

- Ty jesteś inna. Twoja matka i twój ojciec też musieli być wyjątkowymi ludźmi, skoro spłodzili kogoś takiego jak ty.

- Nawet nie wiem, kto jest moim ojcem. Blake uśmiechnął się.

- Na pewno miał piegi.

- Możliwe. I był rudy, bo mama była blondynką. - Spoważniała, a w jej oczach Blake wyczytał smutek.

- Chciałabyś go poznać?

- Chciałabym poznać kogokolwiek - odparła z prostotą. - Dziadkowie mnie nie chcieli. Matka nie żyje. Nie mam nikogo. Na co dzień mi to nie przeszkadza, ale czasami czuję się potwornie samotna. Myślę, że dlatego tak naiwnie zaufałam Richardowi.

- Nie będziesz sama do końca życia. Na pewno kogoś znajdziesz.

- Jasne. Jestem taka pociągająca. - Uśmiechnęła się słabo. - Ja, moje dziecko i mój superpies Ernest.

Blake dzielnie trzymał się tematu.

- Niejeden mężczyzna uważałby, że jesteś atrakcyjna.;

- Ale nie ty.

- Bo ja jestem...

- Inny? - Znowu próbowała się uśmiechnąć. - Już mi to mówiłeś. Będiesz sam do końca życia. Tak jak ja. Z tą różnicą, że ja tej samotności nie wybierałam.

- Martwi cię to?

- Jest mi strasznie trudno - wyrzuciła. - Nie z powodu samotności. Nie boję się jej. Ale dziecko... No cóż, jego ojciec go nie chce. Założę się, że nigdy do mnie się nie odezwie. Gdyby się ujawnił, to i tak wylądowałby za kratkami. Na co komu taki ojciec? Kto się zajmie moim dzieckiem, jeśli mi się coś stanie?

- Jesteś silna jak koń.

- Nie brzmi to sympatycznie.

- Chciałem cię pocieszyć. Ciężarne mają dziwne pomysły...

- Że na przykład umrą podczas porodu. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Tak, to bardzo dziwny pomysł. Blake, jesteś lekarzem i wiesz, że to się zdarza.

- Co takiego?

- Że matka umiera. Rzucawka... Zesztywniał. Zatrucie ciążowe!

- Chodzisz na badania?

- Sama się pilnuję.

- To nie to samo. Jesteś zdrowa?

- Chyba tak. Emily badała mnie tydzień temu, a wcześniej byłam pod kontrolą najlepszego położnika w Sydney.

Odetchnął z ulgą.

- Jakie masz ciśnienie?

- Dziewięćdziesiąt na siedemdziesiąt.

- W normie.

- Wiem o tym! - powiedziała z wyrzutem. - To nie wyklucza zatrucia.

Więc i tak mogę umrzeć.

- I dlatego tu siedzisz? Bo martwisz się, że umrzesz?

- Trochę tak. Zastanawiałam się, kto za rok położy pod choinkę prezent dla mojej córeczki.

- Albo synka.

- Albo synka.

Zamyślił się. Potraktował problem poważnie.

- Naprawdę nie masz żadnych krewnych?

- Mam tylko Ernesta, który na pewno nie umie zmieniać pieluch. W Bay Beach jest kilka dobrych domów dziecka.

- Tak się martwisz, że znalazłaś już sierociniec?!

- Rozglądałam się - przyznała.

Nareszcie do niego dotarło, że Nell zatraciła wszelkie poczucie dystansu. Trzeba ją podnieść na duchu. Zapewnić ją, że takie tragedie zdarzają się wyjątkowo rzadko. Nagle go olśniło...

- Nell, w razie czego zaopiekuję się twoim dzieckiem. Ani on sam, ani Nell nie mogli uwierzyć, że zdobył się na te słowa. Siedzieli na podłodze i wpatrywali się w siebie.

Co ja zrobiłem?!

Co on mówi?!

- Blake, to ci się tylko tak wyrwało, prawda? - szepnęła, a on ujrzał w jej oczach coś, czego bardzo nie lubił: zawziętość kobiety, która walczy z całym światem.

Oto Nell, która zaczyna nowe życie w pięknych, jaskrawych ogrodniczkach. Dziewczyna po stokroć bardziej odważna niż on. Przyszło mu do głowy, że obiecał jej bardzo mało. coś, do czego na pewno nie dojdzie. Ale dla niej ma to ogromne znaczenie. Chwytając go za rękę, miała oczy pełne łez.

- Jak możesz? Sam nie wiesz, co powiedziałaś. Dziecko jest ostatnią rzeczą, jakiej do szczęścia potrzebuje taki zdeklarowany kawaler jak ty.

To prawda, ale to będzie dziecko Nell. Ku swemu zdziwieniu poczuł, że nie miałby nic przeciwko temu. Jeśli dziecko będzie takie jak ona. Dziecko... Zatrudni gosposię. Będzie je wychowywał. Zatrzyma Ernesta. Do diabła! Ona nie umrze! Gdyby jednak... Przeróżająca myśl. Miałby dziecko.

- Kiedy znalazłbyś dla niego czas? Rozbawiło go to pytanie.

- Wobec tego lepiej będzie, jeśli przeżyjesz.

- Mówisz poważnie? Śmiech zamarł mu na wargach.

- Nie wiem dlaczego, ale nie żartuję.

- Mimo że nie chcesz ponownie się ożenić? Nie chcesz mieć do czynienia z żadną kobietą? Za to mógłbyś mieć dziecko?

- Tak. Jeśli będzie mnie potrzebowało. - Zorientował się, że powiedział to z głębi serca.

Chyba oszalał. Mimo to wcale nie czuł się jak szaleniec. Wręcz przeciwnie, przepelniała go siła, zdecydowanie, ciepło, tkliwość... Nim ochłonał z wrażenia, Nell odwróciła się, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go. W same usta.

Chciała w ten sposób okazać wdzięczność, zaskoczenie, radość z powodu jego propozycji, która ukoiliła jej lęk. Nie była to zwyczajna wdzięczność.

Oboje zbyt długo nie mieli nikogo bliskiego, oboje cierpieli z powodu samotności i tęsknoty. Do tej pory nie zdawali sobie z tego sprawy, lecz wystarczyło to jedno zbliżenie, by to pojęli.

Żywioł, pomyślała oszołomiona Nell. Rozszalały żywioł. To ona zrobiła pierwszy krok, lecz gdy tylko go dotknęła, straciła panowanie nad sytuacją. Jej ciało ożyło gorącym płomieniem. Nie pojmowała, kto rozпалиł ten ogień. Ona czy on? Nagle tam, gdzie był lód, poczuła wszechogarniające ciepło. Od pierwszej chwili czuła, że coś ich pcha ku sobie i raz za razem, gdy przekonywała się, że ma do czynienia z wyjątkowym człowiekiem, to przyciąganie przybierało na sile.

To nie tylko wyjątkowy człowiek. To wyjątkowy mężczyzna. Delikatny, opiekuńczy i stale walczący z poczuciem straty. Przeciwnieństwo Richarda. Blake jest... po prostu Blakiem. To wystarczy. Zatęskniła do jego ramion, a gdy w końcu doszło do tego zbliżenia, nie mogła wyjść z podziwu. Cuda się zdarzają. Miłość potrafi zakwitnąć nawet na zgliszczach.

Miłość.

Chyba się w nim zakocham, pomyślała. Nie. Ja już go kocham. Kocham Blake'a Sutherlanda. I nic na to nie poradzę.

Nie miał pojęcia, co się dzieje. Siedział pod kiczowatą choinką i usilnie starał się o profesjonalny chłód, aż tu nagle jego świat przewrócił się do góry nogami. Wcale nie chciał składać takiej propozycji. Nie chciał się w nic angażować. Jako lekarz codziennie miał do czynienia z takimi tragediami. Co by było, gdyby to samo obiecywał każdej samotnej matce? Nell nie jest zwyczajną samotną matką.

To nie ma sensu, pomyślał rozpaczliwie. Lecz jego ciało oraz umysł zareagowały inaczej. Cholera!

Dlaczego nie włożył góry od pizamy? Ciepło jej piersi na jego obnażonym torsie rozpalało go do nieprzytomności. Mimo woli otoczył ją ramionami. Tylko po to, by ją pocieszyć, łągał sam przed sobą. Wcale nie po to, by odwzajemnić pocałunek. Ani po to, by przyłgnąć mocniej do jej ponętnego ciała. Te dwie sprawy są absolutnie bez znaczenia.

Nie udawaj. Całował ją namiętnie, gnany pragnieniem tego, o czym zdążył już zapomnieć. A może nigdy jeszcze tego nie doświadczył? Czy zdarzało mu się coś podobnego z Sylvia? Na pewno nie.

Sylvia... Nagle się zjawiała. Krzyczała, że jeśli ulegnie emocjom, gorzko tego pożałuje. Nie tylko on. Wszyscy. Niewinny sześciolatek nie żyje z powodu jego głupich emocji. Kiedyś dał się im ponieść i skończyło się to śmiercią dwóch osób. Okrutna nauczka, którą dobrze zapamiętał.

To, co teraz czuł, napawało go przerażeniem. Co innego obietnica zajęcia się dzieckiem, gdy ma się świadomość, że nie będzie takiej potrzeby, a co innego taki pocałunek.

Wolał nie wiedzieć, dokąd zmierza. Bał się tego. Nie będzie się w nic angażował. Odsunął się ogromnym wysiłkiem woli. Widział wpatrzony w siebie ogromne oczy Nell. Wyczytał w nich zmieszanie... oraz własny strach?

Tak, to o to chodzi, pomyślał ze smutkiem. Lęk. Wstał. Jakiś czas później zastanawiał się, skąd znalazł na to siłę. Oraz na zerwanie tej nici. Bał się, to prawda.

- Przepraszam - powiedział przez ściśnięte gardło.

- To ja ciebie pocałowałam - odparła wyzywającym tonem, mimo że nie bardzo jej się to udało. - Myślę, że oboje za długo byliśmy samotni. Dwoje wygłodniałych medyków. To my. -Gdyby nie drżenie w jej głosie, mógłby pomyśleć, że żartowała. - Dobrze, że jestem w ciąży. Dostałam nauczkę. Kto to widział, żeby snuć się po mieszkaniu obcego mężczyzny w pizamie w różowe słonie?

Zbagatelizuj to, podpowiadał jej rozsądek, lecz ciało... Nie ma mowy. Rozsądek nade wszystko, pani doktor. To jedyne bezpieczne wyjście. Wcale nie chciała korzystać z sensownych rozwiązań. Pragnęła wyłącznie Blake'a!

On również zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Przepraszam.

- Za pocałunek? - Posłała mu drwiące spojrzenie. Może to nawet dobrze, że się spieszył, pomyślała. - Nie przyjmuję przeprosin. Za taki piękny pocałunek się nie przeprasza. Rozsadza nas energia, doktorze Sutherland.

- Owszem.

- Wolisz oddalić się na spoczynek, zanim zrobimy coś nierozsądnego?

- Tak.

- Ja też. - Podniosła się z trudem.

Bezwiednie wyciągnął ramię, by jej pomóc, lecz cofnął je natychmiast, gdy tylko złapała równowagę. Obserwował ją niczym przyczajona pantera, która szacuje, czy ma do czynienia z myśliwym, czy z potencjalną zdobyczą. Nell zawahała się. Powinna umknąć...

- Mówiłeś to poważnie? - szepnęła. - Obiecujesz, że zaopiekujesz się moim dzieckiem?

- Ustawię się w kolejce. Po Emily i Jonasie...

- Naprawdę?

- Tak - odparł po dłuższej chwili.

- Dziękuję - szepnęła. Temat został wyczerpany, więc strzeliła palcami na Ernesta i lekko się ociągając ruszyła do swojego pokoju. Pod drzwiami odwróciła się. Wygląda na spragnionego, pomyślała. Taki przystojny, męski, a przy tym taki spragniony. Chciała do niego podejść. Objąć go. Lecz łączy ich tylko medycyna.

- Nie wstawaj rano - powiedziała. - Musisz odespać tę noc. Zrobię obchód i przyjmę pacjentów.

- Zajmij się przychodnią. Tylko o to cię proszę - uprzedził jej protesty. - O nic więcej. - Oboje wiedzieli, że nie miał na myśli wyłącznie pacjentów.

- Zgoda. Niech będzie. - Jeszcze raz strzeliła palcami na Ernesta, który drzemał pod łańcuchem z kukurydzy. Beznadziejna sprawa, pomyślała Nell. - Ernest, idziemy. Nasze towarzystwo nfe jest mile widziane.

Spaniel ruszył się z miejsca, lecz gdy stanął przy niej, też się obejrzał, jakby miał ogromną ochotę zostać. To dziwne, ale patrzył na Blake'a, nie na popcorn..

- Idziemy! - zakomenderowała. Na odchodnym rzuciła nienawistne spojrzenie mężczyźnie, który zburzył jej spokój ducha. Oraz spokój jej psa. - Ruszaj. Trzeba znać swoje miejsce. Już dawno powinniśmy byli się tego nauczyć.

Po tej nocy Blake szczelnie zamknął się w swojej skorupie. Nawet w kwestiach dotyczących pacjentów Nell na każdym kroku musiała z nim walczyć. Po kilku dniach była bliska obłądu. Łaskawie pozwolił jej przejąć poranne dyżury w przychodni. Nic poza tym. Ilekroć próbowała w czymś go wyřęczyć, bardzo grzecznie kazał się jej wynosić.

- Jak ty się zachowujesz? - warknęła pięć dni przed świętami. Zjedli właśnie kolację i Blake wychodził do piątego wezwania w tym dniu. - Biorę pieniądze tak samo jak ty. Jakim prawem zagarniasz wszystkie obowiązki dla siebie?

- Jesteś w ciąży. - Stał daleko, jakby śmierdziała albo zaraz miała rzucić w niego talerzem. Uparty kretyn...

- A ty jesteś u kresu sił.

- Nie. - Jego stanowczy ton wykluczał wszelką dyskusję. - Dzięki tobie mam trochę wolnego czasu.

- Ja siedzę w przychodni, a ty jeździsz z wizytami domowymi po całym okręgu! To ma być czas wolny?

- Mam czas biegać.

- To co innego. Nie musisz codziennie biegać aż tak daleko. To nienormalne. Ani naturalne.

- Bieganie służy zdrowiu.

- Uważam, że pan Bóg dał nam konkretną ilość oddechów i nie marnowałabym ich na bieganie.

- Tym się różnimy. Obijasz się.

- Bo na nic więcej mi nie pozwalasz.

- Możesz spędzać więcej czasu w domu dziadków.

- Żebyś wcześniej się od ciebie wyprowadziła?

- Tak.

- Nie mogę się wyprowadzić. Tam jest remont. Nie będę mieszkać w domu, w którym jest remont. Blake, idą święta. Musisz być taki nieuprzejmy?

- Muszę. To moja jedyna broń.

- Mam wrażenie, że się mnie boisz.

- Nieprawda.

- Cieszysz się, że spędzisz ze mną Boże Narodzenie?

- Nie chcę z nikim spędzać Bożego Narodzenia.

- Blake, jesteś bezdennie głupi. - Z hukiem wstawiła naczynia do zlewu.

Ona ma rację. Tak, jestem bezdennie głupi. Ale czuję się zagrożony, mimo że nie wiem, co mi zagraża.

Wiedziała, że Blake panicznie bał się z kimkolwiek wiązać. Ona też, lecz nie odbierało jej to zdrowego rozsądku.

Blake jest doskonałym lekarzem. Przekonywała się o tym na każdym kroku. Przykładem mógł być przypadek Grace, która następnego dnia zjawiała się

w przychodni z zakrwawionym bandażem na rękę. Filetowała ryby. Brzydką ranę należało oczyścić oraz założyć szwy. Trwało to dłuższą chwilę.

- Coś ty zrobiła najlepszego? - denerwowała się Nell. - Nie wystarczy ci cukrzyca? A może uparłaś się, żeby urozmaicać nam życie?

- Szyj i nie gadaj - rzuciła surowym tonem staruszka, po czym się zawahała. - I tak miałam zamiar przyjść do doktora Sutherlanda, żeby nie musiał się do mnie fatygować.

- Po co miałby się do ciebie fatygować? - zdziwiła się Nell. - Kłopoty z cukrzycą? - zapytała ostrożnie.

Milczenie.

- Wiesz o tym, że mój Jack odszedł parę miesięcy temu?

- Blake mi mówił. To wielka strata.

- Dostałam w kość. Czasami wydaje mi się, że jestem na tym świecie sama jak palec. Nasza córeczka umarła na koklusz jeszcze w niemowlęctwie, a Mike utonął, kiedy miał dziewiętnaście lat. Teraz odszedł Jack. - Westchnęła. - Doktor Blake wpada do mnie w tygodniu, żeby się dowiedzieć, jak sobie daję radę.

- I dajesz sobie radę, prawda?

- Tak... Czuję się coraz lepiej. Ta akcja podczas przyływu sprawiła, że poczułam się potrzebna - rzekła po namyśle. - Od kiedy tu jesteś... - Urwała, jakby bała się powiedzieć więcej. Po chwili jednak podjęła: - Blake namówił mnie, żebym spróbowała wypływać w morze. - Dlaczego zmieniła temat? - Łowię teraz szprotki dla domu opieki. Jest tam kilka starszych pań, które za nimi przepadają. Doktor Sutherland wie, że to moja specjalność. Skaleczyłam się, czyszcząc szprotki.

- Czyściłaś szprotki?! Taki drobiazg?!

- Staruszkowie nie lubią ości. Mam dużo wolnego czasu. Poza tym jestem wdzięczna pielęgniarce za opiekę nad moim Jackiem. - Popatrzyła na śnieżnobiały opatrunek i westchnęła. - Bez rękawicy się nie obędzie.

- Chcesz wyjść w morze?

- W święta jest popyt na ryby. Może przy okazji złowię coś dla siebie. Dla jednej osoby nie warto piec całego indyka. Mój sąsiad wyjeżdża do córki. - Jej wzrok posmutniał. - Mam swoje upatrzone miejsce, gdzie są homary. Są wspaniałe na świąteczną kolację.

Dzielna staruszka. I taka samotna.

- Łowisz homary? Może byś złowiła też dla Blake'a i dla mnie?

- Razem spędzacie święta? - rozpromieniła się Grace.

- Tak. - Uśmiechnęła się szeroko. Męczyło ją jednak to, że Grace będzie sama.

Wiedziała, że Blake będzie się wykręcał wizytami u chorych. Nie bardzo liczyła na jego towarzystwo.

- Grace... Dasz się zaprosić na obiad?

Rysy jej wysmaganej wiatrem i pomarszczonej twarzy ani drgnęły, lecz w oczach pojawiło się pytanie.

- Dlaczego?

- Zapraszam cię.

- Spędzacie ten dzień we dwoje. - Przeciągnęła dłonią po siwiejących włosach.

- Nie bój się, nie będziesz nam przeszkadzać. Blake na pewno znajdzie sobie jakieś zajęcie. Przyda mi się ktoś do pomocy przy krojeniu indyka. Zwłaszcza specjalistka od filetowania szprotek.

- Pozwolisz mi podzielić indyka? Przez całe święta będziesz miała pełne ręce roboty, bandażując to, co ze mnie zostanie..

- Przyjdiesz? - nalegała Nell.

- Robisz wszystko, żeby Sandy Ridge cię przyjęło.
- Tu jest mój dom.
- Kiedy byłaś mała, nie było ci tu dobrze.
- Teraz będzie. Zapraszając ludzi, którzy kochają świętować, poczuję się jak w rodzinie.
- Czy Blake wie, że masz taki pomysł?
- Nie.
- Powinnaś go zapytać.
- Nie ma mowy. Uciekłby, gdzie pieprz rośnie. Przyjdiesz? Grace namyślała się bardzo długo.
- Oczywiście, dziecko, przyjdę. Boże Narodzenie to bardzo ważne święto.
- Też tak uważam. Chociaż nigdy nie miałam prawdziwych świąt.
- Jak to? Tak, przypominam sobie, twoi dziadkowie nie obchodzili Bożego Narodzenia.
- Mój mąż też nie uznawał takich okazji. Pomarszczona twarz niespodziewanie się rozpromieniła.
- Wynika z tego, że to my musimy ci pokazać, jak wyglądają prawdziwe święta! Kogo chcesz jeszcze zaprosić?
- Kogo proponujesz? Zróbmy wielkie przyjęcie. Dla tych, którzy nie mają bliskich.
- Chcesz nam podarować święta? Po tym, jacy byliśmy dla ciebie niedo-
brzy?
- Grace, przestań...
- Nie zasługujemy na to.
- Ty zawsze byłaś dobra.
- Nie. - Grace spochmurniała.
- Zapomnijmy o moim dzieciństwie. Są święta. Chcę się nimi cieszyć. To moje ostatnie święta bez żadnych obowiązków.

- Bierzesz na swoje barki ogromną odpowiedzialność. Nawet bez dziecka. Wzięłaś połowę zajęć doktora Sutherlanda. Na dodatek otwierasz przed nami serce. Naprawdę chcesz zrobić wspólny obiad?

- Grace...

- I niczego nie oczekujesz w zamian?

- Czego mogłabym chcieć?

Grace sięgnęła po kartkę papieru i długopis.

- Boże Narodzenie... - powtórzyła zamyślona. - Prawdziwe Boże Narodzenie. Wspaniale. Zróbmy listę.

Pytanie Nell pozostało bez odpowiedzi.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Pani Condie pyta, czy w Boże Narodzenie ma dla ciebie przygotować obiad.

Do Bożego Narodzenia zostały jeszcze trzy dni. Każdą wolną chwilę Nell poświęcała organizowaniu świątecznego przyjęcia, więc uwaga Blake'a ją zaskoczyła. Podniosła wzrok znad cukierków, które zawijała w kolorowy celofan.

- Przecież wiesz, że zaprosiłam gości. Myślałam, że zjemy tutaj. Już ustalam menu.

- Pani Condie może cię wyrećzyć. Nie wiem, ile ma być osób...

- Grace doliczyła się dwunastu. - Widząc jego przerażenie, pospieszyła z wyjaśnieniem: - W Sandy Ridge jest sporo samotnych. Nie lubię szpitalnej kuchni. Jest monotonna i wyjątkowo nieświąteczna. Wolę wszystko przyrządzić tutaj. Z twoją pomocą, oczywiście.

Należało się tego spodziewać.

- W pierwszy dzień świąt będzie sporo pracy.

- Doktorze Sutherland... - Westchnęła. - Nie wykręcaj się. Oboje wiemy, że w środku dnia jest zawsze parę godzin spokoju. Rano dzieci dostają pod choinkę deskorolki, zaraz potem wszyscy idą do kościoła. Potem jest obiad,

który trwa godzinami. I dopiero wtedy dzieci mogą wypróbować deskorolki, a wujkowie wytrzymałość swoich wrzodów żołądka. Lekarze wchodzą do akcji dopiero o czwartej. O co ci chodzi?

- Nie prosiłem cię o zorganizowanie świątecznego obiadu. To bardzo ładnie z twojej strony...

- Ładnie? Sugerujesz, że jestem bezinteresowna?

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Tak to zrozumiałam. Uważasz, że nikt tego nie doceni? Chcę, żeby ci ludzie mnie polubili. Akceptowali. Sama też chcę ich polubić. Po prostu chcę nawiązać z nimi kontakt emocjonalny, którego ty tak bardzo się boisz.

- Nieprawda.

- Boisz się. Świąteczny obiad to nic strasznego. Przyjdzie dwanaścioro starsuszków, którzy chcą przyjemnie spędzić czas. Ty też możesz przyjść, jeśli sobie na to pozwolisz.

Lecz on już się zamknął. Uznał temat za wyczerpany.

- Jeśli będę mógł, zjem razem z wami.

- Dziękuję.

- Przepraszam. - Nagle poczuł, że jest mu przykro, ponieważ ją zranił, mimo że starała się to ukryć. Lecz nie mógł jej dać tego, czego pragnęła. Bliżskości. - Postaram się przyjść - rzekł półgłosem.

- Nie musisz robić mi łaski!

- Nie miałem tego na myśli.

- Nie szkodzi, ale tak to odebrałam. Blake, jesteśmy zmuszeni spędzić te święta razem, więc postaraj się być bardziej sympatyczny.

Jesteśmy skazani... Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się i wyszedł. Nie bardzo wiedział, co się dzieje. I wołał nie dociekać.

Na jak długo są na siebie skazani? Blake miał coraz większe kłopoty z zasypianiem. Za ścianą była Nell. Ona może tu siedzieć przez cały miesiąc, po-

myślał. Jeszcze dwa tygodnie, albo nawet dłużej. Przejeżdżając obok jej domu, zorientował się, że remont potrwa jakiś czas. W tym miasteczku nikomu się nie spieszy. Będzie miała szczęście, jeśli skończą przed terminem jej porodu. Jak on sobie z tym poradzi?

Nie ma się czym przejmować, pocieszał się. Dwa tygodnie przed porodem Nell powinna pojechać do szpitala w Blairglen. W ten sposób za około pięć tygodni będzie miał ją z głowy. Wytrzyma tyle czasu?

Oby to było mniej, modlił się, czekając na sen. Nie chce jej tutaj. Ani jej psa, mebli i głupiej choinki. Chce być sam. W końcu zasnął, lecz nie wiedział, że jego modlitwa została wysłuchana. W domu na urwisku praca wrzała...

W Wigilię wieczorem kończyli operować. Scott Henderson zgłosił się rano z bólem brzucha. Nell zatrzymała go w szpitalu na obserwację. Miała jednocześnie nadzieję, że jego stan się poprawi. Niestety, po południu niesubordynowany wyrostek robaczkowy postanowił perforować.

We dwoje szybko uwinęli się z tym problemem. Usunęli wyrostek, oczyścili jamę otrzewnową i podali pacjentowi dużą dawkę antybiotyków. Miał w ten sposób szansę na świąteczny obiad. Będzie wprowadzie obolały, ale w dobrej formie.

Pozostało im jeszcze założenie szwów. Blake skupił całą uwagę na tym prozaicznym zadaniu, by nie musieć rozmawiać. Nell, przygotowując się do wybudzania pacjenta, gawędziła z pielęgniarkami. Blake poczuł się nieswojo. Zachowuje się jak rozpaskudzone dziecko. Dlaczego?

Nie wiedział. Czuł jedynie, że dystans jest jego jedyną deską ratunku. Jego rozważania niespodziewanie przerwała rejestratorka. Dzięki Bogu. Zapewne jakieś pilne wezwanie. Szansa, by wyrwać się z sali operacyjnej.

- Wypadek - oznajmiła Marion. - Na budowie. U Nell.

- Co się stało?

- Zawaliła się ściana. I przycisnęła paru robotników.

- Jakim cudem?! - zdenerwowała się Nell. - Tam nie było żadnych konstrukcyjnych zmian!

- Nie znasz tutejszych fachowców - zauważył Blake. Zaciągnął ostatni szew i gestem polecił Donaldowi założenie opatrunku. - Od stuleci kojarzą się między sobą. Czasami mam wrażenie, że mają jedną wspólną szarą komórkę.

- Zdejmował fartuch. - Zajmiesz się nim? - zapytał Nell.

- Blake, to jest mój dom. Pojadę z tobą.

- Nie ma na to czasu.

- Przyjadę, jak tylko uznam stan Scotta za stabilny.

- Zadzwoń, jeśli będziesz mi potrzebna.- Popatrzył na jej brzuch. - Tam jest brudno i niebezpiecznie.

- To jest mój dom - upierała się.

- Jesteś zmęczona. Zawiadomię cię.

- Przyjadę. Jak tylko Scott...

- Dobrze - skapitulował.

Prawdę mówiąc, padała z nóg, lecz pół godziny później jechała w stronę urwiska. Miała nadzieję, że szkody są niewielkie, lecz bardziej niepokoiło ją zmęczenie.

Zatrzymała się na podjeździe. Mimo że Blake scedował na nią tylko poranne dyżury w przychodni, przygotowania do świąt tak ją zaabsorbowały, że zapomniała o wizytach na budowie.

Ilekcóż miała wsiąść do auta, ktoś nagle jej potrzebował. Pani Connors nie bardzo wiedziała, jak ma przeprowadzić z córką rozmowę na temat seksu; Grace chciała się poradzić, czy powinna zainstalować u siebie system alarmowy, który umożliwiłby jej wezwanie pomocy, gdyby zasłabła; Bob zastanawiał się, czy nie umieścić swojej starej matki w domu opieki. Były to pro-

blemy, które warto omówić z lekarzem nieco mniej zapracowanym niż doktor Sutherland.

Powinna się cieszyć, że miasteczko zaakceptowało ją jako lekarza. Teraz jednak denerwowała się wypadkiem na budowie. Na dodatek nękał ją tępy ból w krzyżu. Za długo stałam przy stole operacyjnym, pomyślała. A tu jeszcze przygnieceni ludzie i indyk, do którego przed spaniem trzeba nałożyć farsz.

- Niech żyją święta! - mruknęła pod nosem. - Sama tego chciałaś. - Przystanęła, by popatrzeć na dom.

Zupełnie inny! Przetarła oczy. Dom stał na tym samym miejscu, co sto lat wcześniej, lecz był zmieniony nie do poznania. Nigdy nie wydawał się jej taki ładny.

Gdy była mała, był pomalowany burą farbą. Teraz był kremowy, a wszystkie otwory pomalowano na szaroniebiesko, pod kolor morza. Szyby aż lśniły, a w oknach powiewały niebieskie zasłonki wykończone kremowym pasem. Także drewniana weranda została gruntownie odświeżona. Wyglądała jak nowa.

Nell miała wrażenie, że śni. Gdy tydzień wcześniej telefonowała do majstra, jęczał, że ma trudności, a ona tłumaczyła mu, że przed porodem musi wyprowadzić się od Blake'a. Już może to zrobić!

Co z tą ścianą? Gdzie...?

Nie było żadnego wypadku. Był to podstęp, by ściągnąć tam obu lekarzy. Gdy otworzyła drzwi, zamiast zakrwawionych ofiar ujrzała sto, może nawet więcej osób. Baloniki. Chorągiewki. Kwiaty. I ogromny napis: „Witaj w domu!”

Obserwowali ją. Czekali na jej reakcję. Był wśród nich Blake. Miał bardzo niepewną minę. Wyglądał na równie zaskoczonego jak ona. Wszyscy uśmiechali się - z wyjątkiem Blake'a. Powinien się cieszyć, bo oznaczało to spełnienie jego marzeń: Nell zniknie z jego życia wcześniej, niż myślał.

- Jak ci się podoba? - zapytała Grace, która miała na sobie ubrudzony farbami kombinezon.

Nell porwała ją w ramiona. Obie miały łzy w oczach.

- Jak tu pięknie - zachwyciła się.

Przez drzwi salonu widziała, że wszystkie pokoje też są pomalowane, a podłogi wyszorowane i zapastowane. Meble dziadków jakby odżyły...

- Przywieźliście z powrotem to, co przeniosłam do Blake'a - zdumiała się Nell.

- Bo to są przecież twoje meble. - Dwuosobowa załoga karetki uśmiechała się szeroko. - Nie masz pojęcia, ile się natrudziliśmy, żebyś tu nie przyjeżdżała. Musieliśmy wymyślać najprzeróżniejsze problemy, żeby zatrzymać cię w przychodni. A wyrostek Scotta wprost spadł nam z nieba. Uznaliśmy, że Blake nie zaprotestuje, jeśli z jego domu wywieziemy twoje meble.

- Zostawiliście mu choinkę? - Nie powinni jej zabierać. Żeby coś miał. Choćby papierowe aniołki.

- Masz nową choinkę - powiedziała Grace, wskazując na drzewko obwieszane kolorowymi lampkami. Nadal obejmowała ją czułym gestem, tak dla mej nietypowym. - Jesteś tu dopiero od dwóch tygodni, a już zdążyłaś uratować życie jednemu z nas i zaprosiłaś wszystkich staruszków na świąteczny obiad. Nell, kiedy byłaś mała, nikt nie wstawił się za tobą. Uznaliśmy, że musisz spędzić te święta we własnym domu.

- Och, Grace... - Powiodła po nich spojrzeniem. Po swoich. Promienieli radością.

Tylko Blake trzymał się z boku. Patrzył. Wyglądał na ogłupiałego. Dlaczego? Powinien być szczęśliwy, że święta spędzi sam.

- Głupio mi z powodu tych mebli - szepnęła, a on słabo się uśmiechnął, wodząc wzrokiem od niej do Grace i z powrotem.

- Meble? Jakoś bez nich przeżyję.

Blake przeżyje bez jej mebli. Bez niej. To zrozumiałe. Dlaczego miałyby być inaczej? Przecież jest tylko kobietą, która nosi dziecko innego mężczyzny. Kobietą, która w niczym nie przypomina pięknej Sylvii....

Opanuj się! Mieszkańcy Sandy Ridge ofiarowali ci taki piękny dom, a ty myślisz o czymś tak niedorzecznym jak romans z Blakiem! On cię nie chce. I jeśli będziesz robić jakieś aluzje, wasza współpraca stanie się niemożliwa. Kiedy urodzi się dziecko, dobrze byłoby pracować tu na pół etatu - jako wspólnik doktora Sutherlanda, a nie towarzyszka życia.

Prawdę mówiąc, bardzo tego pragnęła, lecz zdawała sobie sprawę, że romans przekreśliłby jej szanse na pracę. Nie ma wyjścia, trzeba pogodzić się z sytuacją. Przeniosła wzrok na mieszkańców Sandy Ridge.

- Domyślam się, że nie przyszlście tu wszyscy wyciągać robotników spod zawalonej ściany - zażartowała.

Odpowiedzieli jej śmiechem. Skądś pojawił się szampan, ktoś zaczął grać na pianinie jej babki, po czym do pianina dołączyły skrzypce i rozpoczęła się zabawa, jakiej świat nie widział: przyjęcie z okazji powrotu Nell McKenzie na łono wielkiej rodziny.

Blake wyszedł pod pretekstem, że musi zajrzeć do Scotta. Wybrał okreśną drogę, wzdłuż plaży.

Musi pobiegać! Za wszelką cenę! Zaparkował przy brzegu i popatrzył na skąpaną w świetle księżyca wstęgę piasku, która ciągnęła się aż po horyzont. Będzie biegł bez końca. Jak najdalej. Żeby uciec z Sandy Ridge. Nie życzy sobie, by Nell zakłócała jego święty spokój.

Teraz już nie będzie mu przeszkadzać, nie będzie spała tuż za ścianą. Nie będzie musiał jej oglądać. Ale nie zniknie.

Cholera! Walnął pięścią w kierownicę, niechcący włączając klakson, który spłoszył stado uśpionych mew.

Powinien zajrzeć do Scotta. Dlaczego pager milczy? Dlaczego nikt go nie wzywa? Włączył silnik i ruszył do domu. Tam jest Ernest, pomyślał zniechęca. Cała reszta jej dobytku została zabrana. Mieszkańcy Sandy Ridge wywieźli nawet jedzenie przewidziane na świąteczny obiad. Ale Ernest nie brał udziału w przyjęciu. Zapewne uznali, że źle by się czuł w nowym miejscu, wśród tylu obcych. Poczul się raźniej. Ernest jest w jego mieszkaniu, więc Nell będzie musiała po niego...

- Stary, przestań! - powiedział na głos. Wcale nie chce, żeby Nell przyjeżdżała po psa. Nie chce nikogo. Zdecydowanie. Mimo to jechał do domu z ciężkim sercem.

Gdy obudził się w pierwszy dzień świąt, Nell nie było. Wpatrując się w sufit, starał się nie myśleć o tym, co w związku z tym czuje. Nie było to nic przyjemnego.

Szósta rano. Dyżur w przychodni zaczyna się o dziesiątej. Zatem przez parę najbliższych godzin może robić, co dusza zapragnie. Nie miał jednak żadnych pragnień.

Mógłby pobiegać. Odrzucił kołdrę i ruszył do salonu. Pod choinką zobaczył Ernesta.

- Co robisz? - Spaniel leżał na grzbiecie i z wyrzutem patrzył na drzewko.
- Miałeś nadzieję, że zajrzy do ciebie Święty Mikołaj?

Pies przeniósł na niego rozżalony wzrok. Był wyraźnie nieszczęśliwy. Blake westchnął i podszedł do lodówki.

- Nie rozumiem, dlaczego Święty Mikołaj o nas zapomniał.
- W lodówce leżał kawał pieczonej szynki. Akurat dla jednej osoby. Pozostałe smakołyki pojechały do Nell.

- Obiad zjesz z nami, więc nie było sensu zostawiać ci tych wszystkich przysmaków - oświadczyła Grace. Zgodził się z nią, mimo że nie zamierzał jeść niczego w obecności Nell.

Zostawili mu szynkę, jajka, porcję truskawek i niewiele więcej. Odkroił mięso od kości, zjadł kawałek i pomyślał, że jakoś należałoby uczcić świąteczny dzień. W związku z tym zaproponował Ernestowi kość.

Lecz pies nie był w świątecznym nastroju. Z westchnieniem obwąchał kość i poniósł ją na zwyczajny, bury chodniczek, który zastąpił turecki dywan Nell. Nie patrząc na Blake'a, zakopał prezent w chodniczek, po czym na nim się ułożył.

- Powinieneś ją zjeść teraz. Bo jest Boże Narodzenie. Ernest był zbyt nie-szczęśliwy, a Blake doskonale go rozumiał.

- Tęsknisz do Nell? - Pochylił się, by pogłodzić aksamitny łeb. - Myślałem, że po ciebie przyjedzie. - To prawda. Nie spał pół nocy, czekając na przyjazd Nell. - Może poszedłbyś ze mną na plażę i trochę pobiegał? - Zdecydowany brak entuzjazmu.

- Trudno. Daj mi jeszcze pięć minut. Potem zabiorę was, siebie i twoją kość, do twojej pani.

To znaczy, że święta spędzi zupełnie sam. Zgodnie z własnym życzeniem. Czy rzeczywiście?

Zajechał pod jej dom dopiero o ósmej. O świcie zjawiała się w przychodni Jodie Farmer z chorym niemowlęciem.

- Wiedziałam, że jest wielkie przyjęcie i nie chciałam pana fatygować. Dobrze się pan bawił?

- Wyśmienicie, dziękuję. Przyjrzała mu się uważnie.

- Pokłócił się pan z doktor McKenzie?

- Nie. Dlaczego?

- Nie został pan tam?

- Nie. To jej dom, nie mój.

- Ale dalej ją pan lubi?

- Skądże!

- Mój stary założył się o dziesięć dolarów, że pobierzecie się, jeszcze zanim dziecko się urodzi. - Uśmiechnęła się. - Liczymy na was, więc moglibyście się postarać.

- Wykluczone. Nawet dla ciebie, Jodie.

- Ma pan coś przeciwko rodzinie? - Popatrzyła na córeczkę.

- Wczoraj nieźle dała nam popalić, ale nie żałujemy, że ją mamy. Daryl i ja uważamy, że rodzina to coś fantastycznego. Teraz, jak pan doktor położy ją w szpitalu, będziemy mogli spokojnie zjeść świąteczny obiad.

- Mielibyście się z pyszna, gdybym jej nie zatrzymał.

- Dobrze pan wie, że bym padła nad nią ze zmęczenia i ją przygniotła. Nie mogę liczyć na Daryla, bo całą noc był w morzu. Jak już ją zostawię w waszych rękach, wrócę do łóżka i prześpię się trochę u boku kochanego mężusia. Wstaniemy akurat w porę, żeby zjeść obiad z teściami. Doktorze, rodzina jest najważniejsza. Powinien pan spróbować. - Pokręcił głową.

- Nie da się pan namówić?

Nieznośna baba.

- Już byłem żonaty.

- Doktor McKenzie jest inna. Jest wyjątkowa.

- Moja żona też była wyjątkowa.

- Słyszałam co innego. Ale i tak uważam, że mój stary wygra zakład. Może nawet sama coś postawię?

- Zmarnowane pieniądze. - Starał się jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. W takich sytuacjach żałował, że jest lekarzem. Mógłby zostać pustelnikiem. Wziął na ręce niemowlę Jodie i w tej samej chwili poczuł ukłucie niepewności. Twarzyczka małej była taka niewinna. Taka ufna.

- Doktorze, pan już dojrzał do założenia rodziny!

- Opiekuję się całą masą dzieci. Słyszę, że Lily nadal ma kłopoty z oddychaniem, więc muszę ją zatrzymać.

- Od początku to wiedziałam. - Ku jego zaskoczeniu nagle objęła go, wraz z dzieckiem, i mocno uścisnęła. - Jest pan fantastyczny! - dodała - Nell też jest fantastyczna. Niech się pan bierze do roboty, żeby mój Daryl wygrał zakład!

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mocno niezadowolony wszedł na schody prowadzące do domu Nell. Miał nadzieję, że już jest na nogach. Odda jej psa i odjedzie. Zapukał. Cisza. Po dłuższej chwili w drzwiach zamiast Nell ukazała się Wendy Gunner, żona Aarona. Widział ją poprzedniego dnia, gdy z trójką dzieci odwiedzała męża. Była wtedy wesoła i rozmowna.

Teraz wyglądała całkiem inaczej. Była blada, miała ściągnięte rysy. Dwoje dzieci czepiało się jej nocnej koszuli.

- Doktor Sutherland!

Nagle udzieliło mu się przerażenie wyczuwalne w jej głosie. Chwycił ją za ramiona.

- Co się stało? Gdzie jest Nell?

- Nell jest w łazience.

- Rodzi?!
Wendy zaczęła płakać.

- Nie, jeszcze nie. Jason...

- Twój Jason? - Chłopiec miał osiem lat. - Co...?

- Dostał rower pod choinkę. - Wendy z trudem hamowała płacz. - Jak tyl-

ko spuściłam go z oczu, zrobił skocznię z desek i cegieł. Poharatał sobie nogę. Wszędzie jest pełno krwi. Doktorze, niech pan go obejrzy...

Najpierw trzeba zająć się tą kobietą, która nie wytrzymała napięcia wywołanego najpierw poważnym wypadkiem męża, potem przygotowaniami do świąt, a teraz zapewne całkiem błahym wypadkiem syna.

- Kyle - zwrócił się do sześciolatka. - Wasza mama bardzo się martwi nogą Jasona. Doktor McKenzie już ją bandażuje. Myślę, że oboje z siostrą powinniście usiąść z mamą na tej kanapie i ją pocieszyć.

- Mama płacze. - Chłopiec nie wyjmował palca z buzi.

- No właśnie. Bardzo was potrzebuje i dlatego musicie ją przytulić. Chrysty, co ty na to?

Dziewczynka okazała się bardziej rozgarnięta.

- Mama, usiądź - powiedziała od razu.

- Teraz ją przytul. - Dziewczynce nie trzeba było tego powtarzać. Po chwili wahania chłopiec przysiadł z drugiej strony. - Nie wolno jej wstawać. - Kobieta przygarnęła dzieci do siebie. - Niech się stąd nie rusza. - Przywołał Ernesta, który już zorientował się, gdzie jest kuchnia..- Jeśli będzie chciała wstać, każcie Ernestowi ją polizać.

- Czy on gryzie? - ożywił się nagle Kyle.

- Nie. On liże. Bardzo starannie.

- I polize naszą mamę?

- Tylko wtedy, kiedy pozwolicie mamie wstać z kanapy. Maluchy bardzo się przejęły. Bacznie przyjrzały się psu. Gdy zerknął na nie spode łba, zajęły się pocieszaniem matki.

Blake znalazł Nell w łazience. Klęczała na podłodze, opatrując pokaźne obtarcie od kolana aż do kostki. Sądząc po wyrazie twarzy chłopca, zaaplikowała mu znieczulenie.

- Nieźle narozrabiałeś - powitał go Blake. Nell nie kryła zadowolenia z jego przybycia. - Pomóc ci?

- Będę ci bardzo wdzięczna. - Opierając się o krawędź wanny, podniosła się. Wierzchem dłoni masowała obolały krzyż.

- Zabiegi chirurgiczne na podłodze nie służą ciężarnym. Nie mogłam posadzić go na stole w kuchni, bo leży na nim indyk.

- Uśmiechnęła się blado. - Dałam mu miejscowe znieczulenie, żeby usunąć żwir. Będę wdzięczna, jeśli dokończysz.

- Dlaczego Wendy zgłosiła się do ciebie? - Mył ręce.

- Mieszkamy po sąsiedzku. Nie chciała ciebie fatygować.

- Tak wygląda życie wiejskiego lekarza. Nie wiadomo dlaczego pacjenci uważają, że łatwiej jest nękać lekarza w jego domu, zamiast zgłosić się do przychodni.

- Widzę, że jednak nie jesteś w stanie przejąć wszystkich moich obowiązków. - Dlaczego znowu sprawia jej przykrość?

- Przepraszam. Ta uwaga była nie na miejscu.

- Masz rację. Jestem do niczego. Normalnie...

- Normalnie jesteś wspaniałym lekarzem. - Miał nadzieję, że Nell się uśmiechnie. - Klęczenie na podłodze z takim opasłym pasażerem nie należy do najrozsądniejszych pozycji.

- Moje dziecko nie jest opasłym pasażerem - odparowała.

- Ale tak to wygląda. Nie myślisz? - zwrócił się do chłopca.

- Skąd tyle tego żwiru? Nieźle się rozpędziłeś.

- Mój rower jest czerwony. Ma małe kółka. I można na nim robić różne sztuki.

- Napisz do Mikołaja i przypomnij mu o ochraniaczach na łokcie i kolana. Jak mógł o nich zapomnieć? - zirytował się.

- Rowerowi nic się nie stało?

- Nie. Obejrzałem go, zanim popatrzyłem na kolano. -Chłopiec posłał Blake'owi szczerbaty uśmiech.
- Wyrośnie z ciebie zawodnik Formuły 1. - Uśmiech zamarł mu na wargach, gdy przeniósł spojrzenie na pobladłą Nell.
- Lepiej idź i zrób sobie herbatę. Zajmę się nim.
- Nie chcę herbaty.
- Być może twój pasażer ma ochotę.
- Czy on jest naprawdę taki tłusty? - zapytał chłopiec.
- Mam nadzieję, że nie.
- Kiedy masz termin? - zapytał Blake. Płód się obniżył, pomyślał. Brzuch Nell wygląda inaczej.
- Ósmego lutego. Za sześć tygodni.
- Jesteś tego pewna?
- Oczywiście. Jestem lekarzem!
- Robiłaś USG?
- Nie.
- Jak tak można?! Nell, do cholery...
- Nie rozpraszaj się.
- Jason, niczego nie słyszałeś.
- Do cholery?
- Takich słów nie używa się przy damach. Wyrwało mi się, bo zostałem sprowokowany.
- Co to znaczy „sprowokowany“?
- To jest coś, co doktor McKenzie robi wyjątkowo dobrze. Doktor McKenzie jest bardzo prowokująca.
- Czy „prowokująca” to to samo co „śliczna“?
- Po części. - Wyjmował szczypcami ostatni kamyk. Gdy podniósł wzrok, Nell podawała mu opatrunek. - Powiedziałem już, żebyś zrobiła sobie herbatę.

- A ja ci odpowiedziałam, że nie chcę herbaty.
- Widzisz? Znowu prowokuje.
- Ona jest bardzo ładna - przyznał chłopiec.
- I gruba. - Postanowił zająć się następnym tematem. - Byłaś w zeszłym tygodniu u Emily?

- Wiesz, że tak.
- Zbadła cię?
- Tak!
- I potwierdziła daty?
- Dlaczego miałyby mi nie wierzyć?
- Ma już pani łóżeczko? - pospieszył Jason. - Bo nasze jest już wolne.
- Jeszcze długo nie będzie nam potrzebne. Zajmę się tym za dwa tygodnie, jak przestanę pracować.

- Ledwie trzymasz się na nogach.
- Nie. Tak. Być może. Tańczyłam do bladego świtu, potem przyrządzałam indyka i nakrywałam do stołu.

Potem na jej progu wylądował Jason, pomyślał Blake. Wcześniej jednak się ubrała. Podobała mu się jej obszerna sukienka na cienkich ramiączkach. Nell jest śliczna, tak powiedział Jason. Blake nie mógł zaprzeczyć.

- Co jeszcze masz do zrobienia? - Bandażował nogę.
- Niewiele.
- Dla dwunastu osób?
- Każdy z nich coś przyniesie. Mnie przypadł indyk i pieczone ziemniaki. Oraz sos.

- Zostanie ci trochę czasu na odpoczynek?
- Chyba tak.
- Skończone. - Postawił chłopca na nogi. - Teraz pomogę doktor McKenzie przy robieniu sosu.

- Będzie pan na obiedzie u pani doktor?

- Oczywiście - pospieszyła Nell.

- Być może...

- Nasz świąteczny obiad będzie u taty, w szpitalu. Ale potem... Czy potem mogę pokazać panu mój rower? Będę bardzo uważał.

- Koniecznie do nas przyjedź - zaprosiła go Nell.

- Nie wiem, czy tu będę. Mogę być zajęty - asekurował się Blake.

- Jak będzie obiad, to nie będzie pan zajęty.

- Zobaczymy.

Wendy zdążyła dojść do siebie. Gdy przyprowadzili do niej Jasona, tonęła w podziękowaniach i przeprosinach.

- Mielśmy na święta jechać do siostry w Blairglen, ale ona jest w ósmym miesiącu, więc pewnie lepiej nie zawracać jej głowy. - Popatrzyła na brzuch Nell. - W ósmym miesiącu wszystko może się zdarzyć.

- Mam jeszcze sześć tygodni do terminu.

Wendy przytaknęła, lecz oboje z Blakiem sceptycznie popatrywali na jej brzuch.

- Dajcie spokój! - Nell roześmiała się. - Po wizycie w szpitalu będziesz sama siedzieć w domu?

- Tak, z dziećmi.

- Przyjdź do nas. To jest dom otwarty dla każdego, kto potrafi śpiewać kołędy. Pomożesz nam wykończyć sos-

Kobieta nie wyglądała na przekonaną.

- Serdecznie zapraszam. Oboje cię zapraszamy. Prawda, Blake? - Ujęła go pod ramię. - Wszyscy nasi goście mają po sto lat, więc podejrzewam, że pośpią się po pierwszej łyżeczce tego sosu. Liczę, że nam pomożesz. A potem razem pozmywamy.

- Jeśli tak, do dobrze. - Wendy spojrzała na Blake' a. - Jeśli pan też będzie...

Czuł ciepło jej dłoni, widział jej promienny uśmiech.

- Postaram się.

To tylko obiad. Dlaczego czuł się tak, jakby wyrzekał się normalnego życia? Wendy wyszła, a z nią cała trójka.

- Dzieci są niesamowite - zauważył Blake. - Ty albo ja wylądowalibyśmy w łóżku.

- Sądzisz, że mając taki rower, Jason dałby się położyć do łóżka? Obawiam się, że tu wróci. Z drugim kolanem.

- Przyjdzie na przyjęcie. Nell, to za duży wysiłek. Cholera, dlaczego...

- Czy musisz przeklinać w taki dzień?

- Przeklinam, bo mam ochotę.

- Ernest jest wstrząśnięty.

- Ernest myśli tylko o indyku.

- Pomożesz mi przygotować sos? Czy tylko zamierzasz mi przeszkadzać? Powieszę ci jemiolę na nosie. Pamiętaj, że będzie tu sześć wdów, a one doskonale wiedzą, do czego służy jemiola.

- Nell...

- Do roboty! Umiesz oddzielać jajka?

- Jedno od drugiego?

- I to mówi chirurg! - Postawiła przed nim karton jajek.

- Pokażę ci, jak to się robi, potem sam oddzielisz resztę.

- Dwanaście?! Tyle sosu? Z czego on się składa? - Popatrzył na odręcznie zapisany przepis. - Skąd go wytrzasnęłaś?

- Milczała. - Jeśli to sekret, to nie mów.

- Znalazłam go w jednej z książek mojej matki. Wszystkie jej rzeczy babcia wyniosła w kartonach do garażu. Nie wiem, skąd mama go miała. To jedna z niewielu moich pamiątek. Można powiedzieć, że jest to przepis rodzinny.

Poczuł ucisk w dołku. Nell ma tak mało, a należy jej się o wiele więcej. Lecz jeśli ona ma to dostać, on będzie musiał ustąpić. Nad czym się zastanawia?

Wiedział, czego pragnie. By Nell miała rodzinę, do której on będzie należał. Oznacza to jednak, że będzie musiał zburzyć mur, który od lat tak pracowicie wznosił.

- Pospiesz się z tymi jajkami, bo spóźnisz się do przychodni. - Wyrwała go z ponurej zadumy. - Zauważ, że odwaliałam za ciebie połowę roboty.

Powinna się przespać, lecz gdy Blake odjechał, kręciła się bez sensu po całym domu. Ciągłe męczył ją ból w krzyżu. Wróci, czy znajdzie sobie jakiś wiarygodny pretekst?

- Nie bądź głupia - powiedziała po raz kolejny. - Masz dom. Psa. Przyjaciół. Przychylnych ci ludzi, z którymi będziesz obchodzić święta. Czego jeszcze ci brakuje?

Blake'a.

- Szczęśliwych Świąt!

Pierwsza pojawiła się Ethel z ogromnym garem puddingu.

- Wiem, że przyjechałam za wcześnie, ale jeśli zaraz nie postawię puddingu na ogniu, nie będzie na czas gotowy.

Nell sięgnęła po garnek - i poczuła ból w krzyżu.

- Coś ty tam włożyła? - Starła się ukryć grymas bólu.

- Wszystko. - Ethel była zbyt zaabsorbowana, by cokolwiek zauważyć. - Straciłam dwa kilo! - pochwalila się.

- Dzisiaj się nie odchudzasz.

- Spokojna głowa. Postępuję zgodnie z zaleceniem pani doktor. I wszystko gra.

Potem zjawiała się Grace z homarami, salaterką sosu tatarskiego i pokrojonymi w plasterki limonkami. Następnie przybył Norman Harper z ostrygami, dalej Harriet, już z rozrusznikiem serca i emocjonującym sprawozdaniem z operacji, Bert z workiem młodych ziemniaków, Marg z zielonym groszkiem, staruszek Toby z wiaderkiem świeżutkiej śmietany, Elsie z truskawkami, Clare z czekoladkami domowej roboty...

Gdy zasiedli do stołu, który ugiął się od wszelkiego dobra, Nell powiodła spojrzeniem po rozradowanych twarzach. Gdyby nie ten stoi, ci wszyscy ludzie siedzieliby teraz samotnie u siebie i wszyscy byliby nieszczęśliwi.

Martwiła ją nieobecność Blake'a. Nawet nie zadzwonił. Siedzi gdzieś teraz w szpitalnej kuchni albo w swoim mieszkaniu i zagryza pieczoną szynkę truskawkami. Można by mu coś podesłać, pomyślała. Nie. To on musi zrobić pierwszy krok.

Grace i Ethel wniosły półmisek z indykiem.

- Wesołych Świąt! - zawołała chwilę później Grace, podnosząc kieliszek z szampanem. - Nell, witaj w domu.

Nie potrafiła powstrzymać łez. Spełniło się jej wielkie marzenie. Gdzie jest Blake?

Robił, co mógł, by tam nie być. Lecz pacjenci nie dopisali. Szpital świecił pustkami. Wokół nielicznych chorych, którzy nie mogli pójść do domu, zebrały się rodziny. To były ich prywatne, rodzinne święta, więc nie miał do nich dostępu.

Mógłby pobiegać, ale na pewno ktoś go zobaczy i Nell poczuje się urażona. Poza tym wszyscy będą się nad nim litowali i zapraszali do siebie. Nie po-

trzeba niczyjego współczucia. Po co mu ono? Wybrał samotność. I jest mu z nią dobrze.

Nell zapewne już dzieli indyka. Nie obchodzi go, co robi Nell. Zadzwoń do niej, powie, że jest zajęty, po czym wróci do swojej kuchni i coś zje.

Lecz jego dłoń nie spieszyła się, by sięgnąć po telefon. W porządku, najpierw zje, a potem zadzwoni. Lecz gdy wrócił do domu, szynka ani truskawki nie wzbudziły w nim entuzjazmu. Nawet Ernest będzie miał więcej atrakcji.

Otworzył butelkę wina i z szynką na talerzu przeszedł do salonu. Z wierzchołka choinki naśmiewały się z niego papierowe aniołki. Ty dumniu, zdawały się krzyczeć. Miały rację.

- Nie pojedę do niej.

- Obiecałeś, że pojedziesz, jeśli będziesz mógł.

- Zachowałeś się jak głupiec. - Taka wymiana zdań z samym sobą i papierowymi aniołami może skończyć się kaftanem bezpieczeństwa. Musiał jednak komuś się wyzalić.

- Sam tego chciałeś.

- Nieprawda.

- Wiec jedź tam i porządnie się najedz. Tam są tylko twoi leciwi pacjenci.

Może nie będzie to takie straszne.

Może. Może postradał zmysły.

Ból krzyża nie dawał jej spokoju. Za dużo się nachodziłam, pomyślała. I niepotrzebnie dźwigała ten ciężki garnek.

Wokół niej toczyło się przyjęcie. Jedzenie było wyśmienite, wszystkim dopisywały humory. Gdyby tylko plecy ją tak bardzo nie bolały... Gdzie jest Blake?

Nie przyjdzie, pomyślała, gdy kobiety zbierały skorupki homarów i muszle ostryg. Gdy wszystkich obdzielono indykiem z chrupiącą skórką, była już

absolutnie pewna, że go nie zobaczą. Nie to jest ważne. Jest wśród fantastycznych ludzi i nikt inny nie jest jej potrzebny. Czy nie przysięgała sobie tego, tnąc patchworkową narzutę?

Gdyby nie ten ból...

- Nell, czy ty dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Grace. - Wyglądasz, jakbyś...

- Jestem trochę zmęczona. - Ból jak pchnięcia nożem. To wszystko przez ten pudding. Musi się trzymać, by nie popsuć tego wyjątkowego obiadu.

- Jesteś pewna, że to tylko to?

- Tak. Naprawdę.

- Nie wyglądasz dobrze. Tak wyglądała twoja...

- Przyniosę sos - przypomniała sobie Nell. W kuchni będzie miała chwilę spokoju, może nawet weźmie coś przeciwbólowego.

- Pójdę po niego, a ty nie wstawaj.

Nell położyła dłoń na ramieniu staruszki i sama się podniosła. Poczowała się taka ociężała. Jakie to dziwne...

Wraz z pierwszym skurczem doznała olśnienia. W tej samej chwili odeszły wody. Z bólu zgięła się wpół, wydając krzyk zdumienia. Na oczach dwanaściorga staruszków z Sandy Ridge osunęła się na kolana.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Blake, zaskoczony swym postępowaniem, wchodził na werandę. Poprzednie Boże Narodzenia spędzał sam. Przyzwyczyił się do tego. Potworna komercjalizacja. Ma to w nosie.

Lecz nogi same go niosły. Nagle zapragnął ujrzeć jej twarz. Zielone oczy. Na pewno zrobi mu miejsce obok siebie.

Romantyk!

Nim sięgnął klamki, drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Doktorze! - krzyknęła Ethel. - Nie ma tu jeszcze telefonu, więc biegłam do sąsiadów, żeby po pana zadzwonić!

- Przecież powiedziałem, że przyjdę.

- Niech się pan pospieszy! Doktor McKenzie rodzi!

Nie było aż tak źle. Staruszkowie już ją ułożyli w małżeńskim łóżu dziadków. Leżała wystraszona, kurczowo ściskając dłoń Grace. Gdy przepchnął się przez grupkę oniemiałych gości, chwyciła go za rękę.

- Blake, ja rodzę. Ono chce wyjść, ale nie może. To dopiero trzydziesty czwarty tydzień. Zatrzymaj je. Kroplówka z salbutamolu. Och... - Kolejny skurcz odebrał jej głos.

- Niech ktoś pojedzie po moją torbę. - Rzucił kluczyki w kierunku najmłodszych staruszków. Największym zaufaniem darzył Grace. - Zostaniesz przy niej? Proponuję, żeby pozostali wrócili do stołu i poczekali na wiadomości. Doktor McKenzie na pewno by sobie tego życzyła.

Doktor McKenzie zdecydowanie nie życzyła sobie dziecka. Blake ją zbadał i stwierdził, że sprawy zaszły za daleko i jedynym wyjściem jest poród.

- Jesteś pewna co do dat? Robiłaś USG?

- Nie. Nie miałam do tego głowy.

- Więc nie masz absolutnej pewności. Kolejny skurcz. Częściej niż raz na minutę.

- Grace, przygotuj dużo wody z mydłem i wszystkie ręczniki, jakie znajdziesz. Poproś Ethel, żeby z mojej komórki skontaktowała się ze szpitalem. Niech powie pielęgniarce, co się dzieje, a one niech tu przyślą położną. I niech postawią na nogi oddział noworodków w Blairglen.

Grace w obliczu kryzysu nie traciła zimnej krwi.

- Mają tu natychmiast przyjechać?

- Tylko położna. Neonatologia niech będzie w pogotowiu. - Zespół neonatologiczny przyjeżdżał na miejsce, gdy poród był przedwczesny. - Mam wrażenie, że ten poród jest o czasie.

- Za wcześnie - upierała się Nell. - Zatrzymaj go!

- Nell, dziecko jest w pół drogi. Umiesz oddychać?

- Nie. Tak. Auu!

- Oddychaj. Skup się.

- Nie chcę. Nie chcę go urodzić.

- Wręcz przeciwnie. - Zajrzał jej prosto w oczy. - Nell, to jest normalny poród, o normalnym czasie. O to ci chodzi, prawda? - Przytaknęła. - Więc na co czekasz? Urodzisz dziecko we własnym domu, wśród przyjaciół, a na dodatek w dzień Bożego Narodzenia. - Nie puszczał jej rąk, starając się dodać jej sił. - Masz mnie i Grace. Oboje cię kochamy i nie pozwolimy, żeby coś ci się stało. Ani dziecku. Ufasz nam? - Popatrzyła na niego nieco bardziej przytomnym wzrokiem. Czuł, że strach zaczął ją opuszczać. - Koniec gadania. Do roboty.

- Dlaczego mam milczeć? - zapytała wojowniczym tonem. - Jak śmiesz...

Dziesięć minut później maleństwo spoczęło w dłoniach Blake'a. Przeciął pępowinę, obejrzał noworodka i uznał, że urodził się o czasie. Tłumiąc wzruszenie, owinał dziecko ręcznikiem i podał Grace. Począł, aż urodzi się łożysko, umył ręce w gorącej wodzie i w końcu przysiadł przy Nell.

Ujął obie jej dłonie. Leżała wyczerpana, z przymkniętymi powiekami. Dziecko pchało się na świat z taką siłą, że matka była na granicy wstrząsu. Przydałaby się kroplówka.

- Nell... - szepnął. Puls miała w normie, więc odetchnął z ulgą. - Nell... - powtórzył, tym razem ostrzejszym tonem.

Otworzyła oczy, lecz czaił się w nich lęk.

- Blake, czy... ono... nie żyje?

- Grace, daj jej dziecko - polecił. Staruszka z uśmiechem przyklękła przy łóżku i pokazała noworodka matce. - Popatrz na swojego syna - dodał Blake półgłosem.

Chłopczyk miał ogromne zdziwione oczy i gęste, rude włosy, jak matka. I jak Grace... .

Staruszka płakała, a Blake się uśmiechał.

- Masz zdrowego chłopczyka - mówił, ocierając palcem łzę z jej policzka. - Ma wszystko na swoim miejscu. Może urodził się wcześniej, ale tylko o tydzień lub dwa. Waży około trzech kilogramów. Jest zdrowy i śliczny. Jak będzie miał na imię?

Grace podała zawiniątko, któremu oszołomiona Nell zaczęła uważnie się przyglądać.

- Podobny do...

- Do swojej mamy. Jest podobny do ciebie. Oraz do... - Popatrzył na Grace i kolejny raz upewnił się, że ma rację. Nadszedł czas, by powiedzieć to głośno. - Jest też bardzo podobny do twojej babci.

- Do mojej babci? Nie widzę żadnego podobieństwa.

- Nie miałem na myśli tej babci, która już nie żyje - mówił przez ściśnięte gardło. Miał przed sobą dwie zapłakane kobiety i sam z trudem hamował łzy.

- Mam na myśli twoją żyjącą babcię. Tę, która przed chwilą podała ci twojego syna.

- Moja babcia... - Zdezorientowana Nell zamilkła. Grace i Blake cierpliwie czekali, aż dotrą do niej słowa Blake'a. - Grace... jest moją babcią?

- Mam rację, prawda? - Blake pomógł usiąść na łóżku staruszce, która płakała jak bóbr. - Twoja matka kochała jej syna Michaela, który zginął, nim zdążyli się pobrać. Więc twój synek jest jej prawnuczkiem.

- Jak do tego doszedłeś? - wyjąkała Grace, Była równie wstrząśnięta jak Nell.

- Domyśliłem się. Wiedziałem, że twój syn zmarł tragicznie. Twój mąż powiedział mi przed śmiercią, że Michael jest ojcem nieślubnego dziecka. Chciał ożenić się z tą dziewczyną, lecz jej rodzice nie chcieli o tym słyszeć. Odesłali ją do ciotki i nie dali mu jej adresu. Kiedy Nell miała trzy miesiące, dziewczyna wróciła. Mike chciał wziąć ślub, mimo że oboje byli bardzo młodzi. Ty i twój mąż wspieraliście go, lecz utonął na krótko przed jej powrotem. Więc matka Nell nie miała do kogo wracać. Chcieliście wziąć dziecko, lecz jego dziadkowie powiedzieli, że wasza dobroć ich córce zrujnowała życie, a ojcem dziecka zdecydowanie nie jest Mike. Odsunęli was.

- Bardzo chcieliśmy... - szepnęła Grace. - Bardzo. Twoja matka była wspaniałą dziewczyną. Jak ty. Była wesoła i zadowolona, mimo że miała takich podłych rodziców. Traktowaliśmy ją jak córkę. Do tego stopnia, że nie zauważyliśmy, że ona i Mike... Dla nas byli jak rodzeństwo.

- Nie powiedzieliście o tym Nell.

- Nie mogliśmy. - Grace nie kryła zawstydzienia. - Najpierw uważaliśmy, że jesteś za mała, a potem wyjechałaś. Kiedy wróciłaś, było mi wstyd. Powin-

nam była o ciebie walczyć. Ale oni uważali, że nasza miłość zrujnowała życie twojej matce, i twierdzili, że i tobie zmarnujemy życie.

- Kochając kogoś, nie można go zniszczyć - wyrwało się Blake'owi. Czuł, że lada moment sam zaleje się łzami. - Nell, masz wspaniałego synka. Oraz wspaniałą babcię. Nie wystarczy ci taka rodzina? Czego jeszcze ci brakuje?

Szeroko otworzyła oczy. Wszystko zawdzięcza temu człowiekowi. Dał jej dziecko. Oraz babcię. Nie wypada chcieć więcej. Lecz...

- Ciebie - szepnęła, po czym posłała mu niepewny uśmiech. - Kocham cię. - Uśmiechała się coraz bardziej promiennie. Mocniej przytuliła dziecko. - Święte słowa. Kochając, nikogo nie można zniszczyć. Można tylko dawać i mieć nadzieję. - Zmęczenie wzięło górę nad uniesieniem. - Wracajcie do stołu. Mój syn i ja chcemy się zdrzemnąć.

Blake'a i Grace czekało gorące powitanie. Entuzjastyczna reakcja starszyczków mogłaby wskazywać, że to Blake został szczęśliwym ojcem. Nie miał im tego za złe. Czuł się jak... jakby sam na nowo się narodził. Ogromny ciężar spadł mu z ramion, ciężar, z którego nawet nie zdawał sobie sprawy.

Potem Ethel zaanonsowała świąteczny pudding. Największy pudding, jaki Blake kiedykolwiek widział! Podpałiła go już w kuchni i tę niebieskożółcistą kulę ognia wniosło dwóch starszyczków. Zaraz będę musiał ich ratować, pomyślał Blake. Na Boga, Ralph cierpi na Parkinsona! Zawsze cały się trzęsie, a ona pozwoliła mu igrać z ogniem.

Tym razem nic nie wskazywało, by półmisek był zagrożony. Postawili go przed Blakiem.

- Pełnij obowiązki gospodarza. Powinna zrobić to doktor McKenzie, ale w tej chwili jest zajęta.

Rozdzielił płonący deser, po czym nałożył sobie sporą porcję bitej śmietany, lodów oraz sosu. I jeszcze trochę sosu, bo nagle przestał czuć się skrepowany.

W końcu wszyscy wyszli. Jason odjechał na rowerze, lecz pozostali poszli piechotą, co na pewno dobrze im zrobi po tak obfitym posiłku. Została tylko Grace. Usiadła w fotelu na biegunach na werandzie i uśmiechała się, jakby to święto było ukoronowaniem wszystkich świąt. Nell należy do jej rodziny, jest jej wnuczką. Nareszcie ją odzyskała.

- Powinna już się obudzić - zwróciła się do Blake'a, spoglądając na zegarek. - Śpi już cztery godziny.

- Niech śpi jak najdłużej.

Grace chciała jak najszybciej być świadkiem happy endu. Nie można pozwolić, by Blake się wymknął. Znowu mógłby zatrzaskać się w tej swojej skorupie i Nell straci kilka miesięcy, by go z niej ponownie wyciągnąć. Staruszka wierzyła w swoją wnuczkę jak w mało kogo, lecz postara się jej pomóc.

- Powinieneś ją jeszcze raz zbadać - powiedziała. - Kiedyś zapisałam się do szkoły pielęgniarstwa, zanim postanowiłam, że będę łowić ryby. Stąd pamiętam, że nie należy pozostawiać pacjentów bez opieki na dłużej niż cztery godziny, bo mogą pomyśleć, że personel jest zupełnie zbędny.

- Masz rację.

Sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Od porodu jest taki ogłupiały, pomyślała. Wytracony z równowagi.

- Byłoby źle, gdyby Nell uznała, że jesteś zbędny.

- Grace, przestań...

- Idź do niej. - Popchnęła go w stronę sypialni. - I w ogóle rób to, na czym ci zależy. Dla odmiany zajmij się sobą. Daj tej dziewczynie to, czego najbardziej pragnie. I przy okazji pomyśl, czy i tobie nie chodzi o to samo.

- Nie chcę...

- Chcesz, chcesz. - Pokiwała głową. - Idź już.

Gdy popatrzył na Nell na ogromnym łożu, serce zabiło mu mocniej. Spała zwinięta jak kociak. No, może jak opiekuńcza kotka, poprawił się. Przytuliła policzek do aksamitnej główki maleństwa, włosy oblepiały jej twarz. Była bardzo blada, przez co piegi stały się jeszcze bardziej widoczne. Wyglądała na dziesięć lat. O nie! Tęsknota, jaka w nim wezbrała, uprzytomniła mu, że patrzy na dojrzałą kobietę.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. W tej samej chwili Blake doznał olśnienia. Bał się bólu miłości, jaką darzył Sylvie. Tym razem jest inaczej. To uczucie nie niesie z sobą bólu. To jest dobra miłość. Cudowny skarb, jakiego jeszcze nie było mu dane posiadać.

- Nell... - Boże Narodzenie to pora dawania. On już to zrobił. Jego serce należy do niej. - Powiedziałaś, że mnie chcesz - zaczął.

- Naprawdę? Nie należy wierzyć rodzącej kobiecie.

- To znaczy, że mnie nie chcesz.

- Tego nie powiedziałam.

- Jesteś głodna?

- Chyba tak.

- Jest pudding. I sos z brandy.

- Czy mogłabym dostać sam sos?

- Dostaniesz wszystko, co zechcesz.

- Nawet ciebie?

Zawahał się, lecz widząc jej niepewność, poczuł się trochę lepiej.

- Tak sędę. Nell...

- Dałeś mi już babcię - rzekła cicho. - Oraz syna.

- Czy wiesz, jak twoja matka weszła w posiadanie przepisu na ten sos? -

Trzeba wreszcie jakoś rozładować to napięcie. - Dostała go od Grace. Twoja matka wymykała się do nich podczas świąt, i wtedy dostała ten przepis. To ostatni, najważniejszy dowód.

- Nie potrzebuję żadnych dowodów, żeby wiedzieć, że Grace jest moją babką. - Przez cały czas wpatrywała się w jego oczy. - Od kiedy tu przyjechałam, czuję się kochana.

- Przez nią.

- Kto jeszcze mógłby mnie tu kochać? - Nie mógł znieść smutku rozbrzmiewającego w jej głosie.

- Ja.

- Blake, nie musisz. Tylko dlatego że...

- Dlaczego?

- Dlatego, że ja cię kocham - szepnęła. To wystarczyło. Pochylił się, by ją objąć.

- Nell, kochana Nell. - Szkoda było słów. Pocałował ją delikatnie i nieśmiało, potem goręcej. - Moja Nell...

- Pamiętaj, że jestem twoim gwiazdkowym prezentem. Tylko przez cztery tygodnie. - Uśmiechała się.

- Kiedy miałem dwa lata, dostałem pod choinkę wóz strażacki. Był wyjątkowo piękny. - Patrzył z czułością na jej synka. - Teraz mam trzydzieści cztery lata, ale myślę, że zaraz go odkurzę dla pewnego chłopczyka, któremu może się spodobać.

- Nie rozumiem.

- Nie mam zwyczaju rozstawać się z gwiazdkowymi prezentami. - Ujął jej dłoń. - Trzydzieści dwa lata to mój rekord. Teraz za cel stawiam sobie pięć-

dziesiąt lat. Czy zgadzasz się być moim gwiazdkowym prezentem przez pięćdziesiąt lat?

- Pięćdziesiąt?

- Nie odpowiada ci?

- To stanowczo za krótko. - Ujęła jego twarz w dłonie. - Kochany, wszystkiego najlepszego. Teraz i na zawsze.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Jason, to znowu ty? - jęknął Blake. - To samo zrobiłeś w minione święta.

- W zeszłym roku to był rower - oznajmił chłopiec, unosząc wyżej broczący krwią łokieć. - W tym roku dostaliśmy batut.

Blake tylko westchnął.

- Mamy pacjenta! - zawołał do Nell, która wyjrzała z kuchni. Tuż za nią wypełził mały Michael, a za nim wierny Ernest.

- Nie będę cię zszywać na podłodze w łazience - oznajmiła srogim tonem.

- Widziałeś, co się potem stało.

- Ale teraz jest pani dopiero w czwartym miesiącu.

- Lepiej nie ryzykować. Chodź do kuchni. Zabiorę indyka ze stołu.

- Ja go przeniosę. Masz rację, lepiej nie ryzykować.

- Jeśli mogę nosić Michaela, mogę też podnieść indyka. - Wzięła malca na rękę. - Pospiesz się, bo w tym roku mamy święta oraz urodziny.

- Daj go mnie - zaofiarowała się Grace. Pocałowała prawnuczka w policzek. - Michael, co dziś zrobiłeś?

- Bawił się wozem strażackim w piaskownicy - poinformował ją Blake.

- Nic nie dorówna twojemu wozowi strażackiemu.

- To wcale nie jest mój najlepszy prezent. Rok temu dostałem lepszy. Żonę oraz syna. Czy może być coś lepszego?

- Batut - wtrącił pospiesznie Jason. - Zajmie się pan moim łokciem? Krew mi leci.

- Przejąłbym się twoim łokciem, gdybym wierzył, że na to nie zasłużyłeś. Chodź. Zdejmujemy ze stołu indyka, żeby zrobić dla ciebie miejsce.

- Jeszcze nie zaczęłam robić sosu - upomniała się Grace. - Pospieszcie się.

- Zamierzamy pobić rekord zakładania szwów. Wszystko dla sosu. Z ilu jaj?

- Z dwunastu.

- To za mało jak na taką powiększającą się rodzinę. - Czułym gestem objął Nell. - Sosu ma wystarczyć dla całego Sandy Ridge oraz jeszcze paru przyjezdnych.

- Ile osób zaprosiłeś? - zaniepokoiła się Nell.

- Dwanaście na obiad, a potem...

- Potem?

- Potem zejdą się wszyscy, którzy nas kochają, i razem będziemy kolędownać.

- Wszyscy, którzy nas kochają? Blake, przestań. Masz minę jak kot, który opił się śmietanki.

- Nie jestem kotem, który opił się śmietanki, lecz Blakiem, który dostał Nell. - Pocałował ją w same usta.

- Jason czeka! - ofuknęła go. - Nie wolno tak się całować na oczach dziecka.

- Dobrze wiesz, że to przez te ogrodniczki. Poza tym są to skutki wieszania jemioly.

- Nie ma tu jemioly.

- Gdzieś na pewno jest. Powiedziałbym, że to wyjątkowo zakaźna przypadłość. Oraz trudna do wyleczenia. Trzyma całymi latami. Czasem nawet pięćdziesiąt lat!

- Nieuleczalna?
- Wymaga sosu z brandy. Kilkorga dzieci. I ciebie.
- Zapomnieliście o mnie? - upomniał się Jason.
- Cierpliwie czekaj na swoją kolej. - Blake roześmiał się. -Pan doktor jest zajęty wyjątkowo ważnym prezentem. Lekarz ma obowiązek zawsze zaczynać od najpoważniejszego przypadku.
- Zawsze? - szepnęła Nell, nim ich wargi się spotkały.
- Zawsze...

RS